NUMER 10. ROCZNIK I. PAŹDZIERNIK 1897.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(MAT XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(ŚW. DYONIZY).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(ŚW. FRANCISZEK Salezy).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież PIUS IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św LEON XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA**.

Odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy.

Na mocy Brewe Ojca św. PIUSA IX, *z dnia 9go maja 1876 r., każdy* **Pomocnik i Pomocnica** *salezyańska może zyskać wszystkie bez wyjątku odpusty, tak* **zupełne**, *jako i* **cząstkowe**, *których dostępują* **Tercyarze** *zakonu św. Franciszka z Asyżu.*

(*Zob.* Ustawy dla Pomocników salezyańskich, *str.* 18-28).

Prócz tego zyskać mogą **Pomocnicy** *nasi:*

a) *odpust* **zupełny** *raz na dzień, jeżeli odmówią trzecią część Rożańca św. przed Najśw. Sakramentem, a w razie niemożności, przed krucyfiksem. — Odpust ten ofiarować mogą za dusze w czyscu cierpiące;*

b) *odpust* **zupełny** *za każdym razem, jak przystąpią do Komunii św.*;

c) *tyle odpustów* **zupełnych** *w ciągu dnia, ile razy na intencyą Ojca św. zmówią* 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś *i* 6 Chwała Ojcu.

Odpusty te, które można także ofiarować za dusze, w czyscu cierpiące, zyskać można **toties quoties**, *to znaczy: ile tylko razy odmówi się wyż podane modlitwy, na jakiembądź miejscu, nie potrzebując przytem zgoła przystępować do Sakramentów św., wystarczy bowiem być w stanie łaski Bożej;*

d) *odpust* **zupełny** *w każdą niedzielę i w dni poniżej wymienione, jeżeli wyspowiadawszy się w ciągu tygodnia i do Komunii św. przystąpiwszy jaki kościół albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyą Ojca św. się pomodlą.*

Listopad.

1. **Wszystkich Świętych.**
2. **Dzień zaduszny.**
6. **Św. Agnieszka z Asyżu, siostra św. Klary.**
19. **Św. Elżbieta, król. węgierska.**
21. **Ofiarowanie Najśw. Maryi Panny w świątyni.**
26. **Św. Leonard z Porto Maurizio.**
29. **Wszystkich Świętych wszystkich trzech zakonów św. Franciszka z Asyżu.**
30. **Św. Andrzeja Apostoła.**



WYCIECZKA
DO
Llanos de San Martin.



Villavicencio, dnia 2go lutego 1896 r.

NAJPRZEW. I NAJDROŻSZY OJCZE,

Korzystając z chwilki wolnego czasu, jaki mi pozostaje, zanim moi ludzie wystarają się o muły, mające nas przenieść do stolicy Kolumbii (*Santa Fé de Bogotá*), postanowiłem zdać Ojcu krótkie, a zwięzłe, sprawozdanie z wycieczki, odbytej w ubiegłym co dopiero miesiącu styczniu.

Cel jej był podwójny. Przedewszystkiem chcieliśmy zadosyć uczynić życzeniu, po wielekroć wyrażonemu, Najprzew. X. Arcybiskupa z Bogotá, ażeby mianowicie XX. Salezyanie objęli misye na tak zwanych *równinach San Martin* (Llanos de San Martin), należących do archidyecezyi.

Drugi cel był czysto humanitarny: chodziło o to, by z upoważnienia władzy duchownej i świeckiej wynaleść gdzie na rzeczonych *równinach* odpowiednie jakie i dogodne miejsce, gdzieby prędzej czy później można wznieść wielki szpital, mogący pomieścić 15-20,000 trędowatych, rozrzuconych obecnie po całem terytoryum rzeczypospolitej kolumbijskiej.

Wpadłem na tę myśl kilka miesięcy temu, gdym zwiedzał szpital trędowatych w departamencie Santander. Nędza, jaką tam znalazłem, była tak okropną, liczba trądem zarażonych, których wszędy po drodze napotykałem, była tak wielką, szpital miejski tak był przepełniony, że powziąłem silne postanowienie, zająć się wedle sił i możności tymi nieszczęśliwymi kalekami. Powróciwszy do stolicy, wystosowałem tedy do rządu *memoryał*, w którym wszystkie swoje spostrzeżenia i plany, z jakimi się noszę, wyłuszczyłem, a który to memoryał, przynajmniej w głównych swych zarysach, znalazł u kierowników rzeczypospolitej przychylne przyjęcie.

Pierwszym krokiem do urzeczywistnienia mego zamiaru była właśnie wycieczka w te oto okolice.

W r. 1893[im], po długich rozprawach i roztrząsaniach, tyczących się kwestyi trędowatych, a zwłaszcza sprawy założenia dla nich wielkiego, ogólnego szpitala, na *pierwszym zjeździe* lekarskim w Santa Fé de Bogotá, na który przybyło przeszło 100 lekarzy z całej Kolumbii, zapadła uchwała, by przeznaczyć wyłącznie na ten cel jedną z wysp, jakie rzeczpospolita posiada na *Oceanie Spokojnym*. Uchwałę tę przyjął rząd przychylnie i wysadził osobną komisyę, by najwięcej się do tego nadającą wyspę wyszukać. Wybrano Coimbę, leżącą na południe od przesmyku Panamy. Kiedy jednakże zamierzano wziąć się na dobre do urzeczywistnienia projektu, napotkano zaraz na wstępie na tyle trudności, że niebawem zaniechano go całkiem, jako niepodobny do wykonania.

Najwięcej trudności stawili samiż trędowaci, którzy przedstawicielom rządu oświadczyli bez ogródki, że z góry odrzucają wszelkie co do nich zapadłe uchwały i że w żaden sposób nie zgodzą się na to, by pójść tak daleko i zamieszkać miejsce odludne i od wszystkich ze wstrętem omijane.

A choćby nawet rząd chciał uchwałę medyków przeforsować siłą, to i tak nie mógłby jej żadną miarą przeprowadzić. W jaki bowiem sposób chciał on przewieźć na wyspę takie tłumy i to jeszcze tego rodzaju kalek? Jaki okręt przyjąłby ich na pokład? A gdyby nawet znalazł się taki statek, czyż nie wystawionoby całego wybrzeża rzeczypospolitej i krajów ościennych na niebezpieczeństwo zawleczenia tam choroby, wszędzie i u wszystkich najwyższy wstręt i odrazę wzbudzającej? A dalej, przypuściwszy nawet, iżby szpital stanął, któżby się chciał podjąć jego administracyi? Jak i ile trzebaby tam posyłać żywności, chcąc utrzymać tyle tysięcy ludzi? Potrzebaby na to co najmniej kilka milionów rocznie. Zresztą wyłoniło się naraz tyle niespodziewanych i tak wielkich trudności, że o całej uchwale prześwietnego kongresu można śmiało powiedzieć: przyszła na świat już z zarodkiem śmierci i zaledwie ujrzała światło dzienne, poniesiono ją do grobu.

Faktem jest, że w kilka miesięcy po kongresie puszczono ją całkiem w niepamięć.

1. *Równiny San Martin*. — Niebezpieczeństwa, na jakie podróżujący bywa tu narażonym. — Piękność przyrody.

Nierównie łatwiej dałoby się przedsięwzięcie, o jakiem mowa, przyprowadzić do skutku na *równinach San Martin*. Nie mówię już,

iżby tam nie miano napotkać na żadne zgoła trudności: owszem, przeszkody są, i to wcale poważne, ale przynajmniej rzecz sama w sobie nie jest niepodobną do wykonania. Dlatego też rząd zatwierdził projekt, który pozwolę sobie nazwać *salezyański*, a wycieczka moja w tutejsze strony miała właśnie na celu, wynaleść najodpowiedniejsze na szpital miejsce. Tym końcem, zaprosiwszy ze sobą lekarza, inżyniera i przedstawiciela rządu rzeczypospolitej, opuściłem w ich towarzystwie dnia 5go stycznia b. r. Santa Fé de Bogotá, udając się w kierunku *Llanos de San Martin.*

Są to niezmierzone płaszczyzny, które rozciągają się od *Kordylierów* wschodnich rzeczypospolitej kolumbijskiej aż do *Oceanu Atlantyckiego* i zajmują obszar wielu tysięcy leguas wszerz i wzdłuż. Potrzebaby kilku miesięcy, ażeby je przebyć z jednego końca na drugi i wątpię, czy już kto do dziś dnia sztuki tej dokazał. Przypominają pod niejednym względem *Pampas* rzeczypospolitej Argentyny, są jednakże o wiele piękniejsze, więcej malownicze, bardziej urozmaicone i bez porównania rozleglejsze. Na północ i na wschód graniczą z morzem *Antylów* i z *Oceanem Atlantyckim*; na południe rozciągają się aż do *Amazonki*, od zachodu opierają się o *Kordyliery*, ciągnące się po wschodniej krawędzi *Oceanu Spokojnego.*

Przedewszystkiem nie są one tak monotonne, jak *Pampas* argentyńskie. Na tych ostatnich można nieraz jechać kilka dni, nie napotkawszy ani jednego drzewa, ani nawet kamienia: wszędzie tylko trawa i trawa; tu i owdzie ujrzysz pasące się trzody bydła i stada koni, kilka wyschłych jezior, parę strumyków albo rzek i nic więcej. Tu przeciwnie co krok spotyka się rozmaitość, która zachwyca podróżnego.

Nasamprzód przebywa się lasy dziewicze, zdające się nie mieć końca, ręka ludzka umiała jednakże utorować sobie i tu drogę, przynajmniej w niektórych z nich, wyjąwszy takie gęstwiny, dokąd nigdy nie dochodzi promień słoneczny, i gdzie po deszczach tropikalnych, padających całymi miesiącami, powstają strugi, a raczej płytkie bagna, przez które przychodzi brnąć na koniach lub mułach z powolnością, która nuży i wierzchowca i jeźdzca.

Taką oto drogę trzeba nam było przebyć z Villavicencio do San Martin przez więcej, niż 24 godzin.

Do tego trzeba jeszcze dodać wielkie i bystro płynące rzeki, przez jakie również przychodzi się często przeprawiać. W tych bowiem stronach mostów wcale nie znają, chcąc zatem przedostać się z jednego brzegu na drugi, trzeba się wyzbyć wszelkiej bojaźni, a zdjąwszy obuwie i nogi obnażywszy aż do kolan, zabezpieczyć się dobrze na siodle, osadzić się mocno na ostrogach i przeżegnawszy się i opiece swego Anioła Stróża gorąco się poleciwszy, rzucić się we fale i płynąć zwolna i ostrożnie, kierując się ku przeciwnemu brzegowi.

Muł ma nogi mocniejsze i wzrok bystrzejszy, aniżeli wszelki inny wierzchowiec, zaczem nader rzadko się w rzece potknie lub, co gorsza, upadnie. Nie tak koń, który nieraz stawia nogę w miejscu oślizłem, lub potknie się o lada kamień, a wtedy biada jeźdzcowi: nic łatwiejszego, jak odbyć niedobrowolną zimną kąpiel.

Podróżującym, nieprzyzwyczajonym do tego rodzaju jazdy, grozi inne jeszcze niebezpieczeństwo.

Przeprawiając się przez szerokie rzeki o wartkim biegu, wzrok się zwykle mąci i człowiek sam nie wie, gdzie się właściwie znajduje: zdaje mu się, że stoi, a on tymczasem posuwa się naprzód, i odwrotnie: płynie dalej, a jemu się wydaje, że stoi na miejscu; zdaje mu się, jakoby wody porywały ze sobą bydlę, na którem siedzi, i ma się już za straconego. Dlatego też żaden podróżny nie przeprawia się sam jeden przez rzekę; towarzyszy mu zwykle przewodnik, który zna doskonale rzekę i każdy jej bród. Zaleca się również, przywiązać swego konia, lub muła, do ogona konia przewodnika i dać mu się prowadzić: tak uczyniłem np. ja w obecnym razie, łącząc z tem inną jeszcze przezorność, tj. starałem się ile możności wzrokiem rzucać na wszystkie strony, nie patrząc zgoła na fale, a gdy to nie pomogło i w oczach już mi się ćmić zaczynało, zamknąłem powieki i tak oto przedostałem się bez szwanku z jednego brzegu na drugi.

Takie jednakże środki zaradcze dadzą się jedynie zastosować *latem* (tj. w czasie suszy), kiedy to przez rzeki można się jeszcze wogóle przeprawiać, gdyż *zimą* (czyli w czasie deszczów) jestto wręcz niepodobnem. W tej ostatniej porze roku, kto się czuje na siłach, a ma pilną potrzebę przeprawić się na drugi brzeg i pływa dobrze, ten rzuca się bez wszystkiego w rzekę i przebywa ją wpław, albo też czeka cierpliwie czasu suszy, aż znowu wody opadną.

W niektórych miejscach napotkać można na brzegu małą łódkę, wąską a długą, wyżłobioną z pnia drzewa, brak jednakże przewoźnika, którýby się podjął podróżnego z jej

pomocą przewieźć, trzeba zatem samemu wiosłować, a nadto ciągnąć za sobą konia. Przywiązuje go się zwykle do boku łódki; jeżeli koń nie jest strachliwy, to płynie spokojnie obok czołna, zdarza się jednakże często, że lada czem daje się przestraszyć, że szarpie się i rzuca wstecz, a wtedy niebezpieczeństwo jest wielkie: łódka bowiem, będąc bardzo wąską, z łatwością traci równowagę i przewraca się. Koń w tym razie prawie nigdy się nie topi, lecz wydostaje się szczęśliwie na brzeg: nie tak łatwo wszakże przychodzi wyratować się jeźdzcowi, który jeżeli nie zdąży wczas schwycić konia za ogon, ginie w nurtach rzeki.

Inne niebezpieczeństwo, i to niemałe, które najlepszych nawet pływaków powstrzymuje od rzucenia się w rzekę, grozi ze strony krokodylów, prawdziwych gospodarzy tych rzek. W strefie gorącej krokodyle znajdują się tysiącami we wszystkich rzekach. W czasie nieco chłodniejszym, a zatem rano i wieczorem, pospolicie nie opuszczają łożyska rzeki, gdyż im tam cieplej; zato w godzinach przed - i popołudniowych wypływają gromadnie na wierzch, wychodzą na ląd i wylegują się na rozpalonym piasku całemi godzinami, paszczę trzymając szeroko rozwartą i trawiąc łup, połknięty w nocy. Zwykle uciekają do rzeki, jeżeli się ktoś do nich zbliża, chyba że głód im dokucza, a w takim razie napadają i ścigają podróżnego. Jeżeli zaś kto nieszczęśliwym trafem wpadnie do wody, to można prawie na pewne powiedzieć, że zginął: głodne czy syte, chwytają zdobycz ostrymi kłami i ciągną ją na spód rzeki. Bronić się wtenczas niepodobna, bo krokodyl na całem swojem cielsku nie ma miejsca, któreby można zranić: pokryty jest skórą, twardą, jak żelazo, której żaden nóż nie przebije; nawet kule karabinoweześlizgują się po jej wierzchu. Mówią, że jedyny sposób, by się uwolnić z jego strasznej paszczy, jest: oślepić go, a to wpychając mu palce w ślepie; wtenczas puszcza podobno zdobycz, nie na długo wszakże, bo zaledwie przyjdzie do siebie, rzuca się znowu na nią. Trzeba oczywiście do tego dużo zręczności, a zwłaszcza przytomności umysłu, na którą zapewne mało kto się może zdobyć, pochwycony silnie kłami tego potwora. Co do mnie, nie mam najmniejszej ochoty wypróbować skuteczność tego zachwalanego środka.

Z tych i różnych innych powodów przeprawa przez większe rzeki w tych stronach zawsze bywa niebezpieczną, a zimą (= w czasie deszczów) nie podróżuje się wcale.

Ktoby zaś mimo wszystkiego pragnął orzeźwić się i użyć rzecznej kąpieli, temu trzeba się wystrzegać innego jeszcze niebezpieczeństwa. W tutejszych rzekach, nawet pomniejszych, znajdują się dwa gatunki ryb, ukłucie których jest zawsze prawie śmiertelnem. Zowią je tu *raya* i *temblador*; żyją do połowy ukryte w piasku i trudno je zazwyczaj dostrzedz; gdy się na nie nastąpi, kłują boleśnie i, jak się wyżej rzekło, przyprawiają najczęściej kąpiącego się o śmierć. Tam jednak, gdzie piasku niema, a grunt jest kamienisty, ryb tych wcale się nie napotyka, zatem w takich tylko miejscach można bezpiecznie używać kąpieli.

Połów ryb w tutejszych rzekach nadzwyczaj się opłaca. Kiedyśmy pewnego dnia byli zmuszeni szukać we wodzie dla siebie pożywienia, w bardzo krótkim czasie schwyciliśmy na wędkę dwie duże ryby, zwane tutaj *amarillos*, mogące ważyć od 4-5 *rubbi* każda. Stanowią one zwykle pożywienie tutejszych Indyan.

Zwierzyna po lasach niemniej jest obfita, a jużto niezliczone mnóstwo ptaków można widzieć, przeprawiając się przez puszczę. Prawie wszystkie różnią się od naszych wielkością, upierzeniem i głosem. Oczywiście, pomiędzy ptakami najwięcej jest tutaj różnokolorowych papug. Kto zwłaszcza w godzinach porannych przebywa leśną puszczę, ten może się dowoli nasłuchać doborowej ptasiej muzyki, wobec której, rzekłbym, niknie śpiew solo, jakiem w naszych stronach pieści nieraz ucho słowik. Jestto choralne *benedicite Domino omnes volucres caeli* (= *chwalcie Pana wszyscy ptacy niebiescy*) proroka Daniela, które za każdym razem wprawiało w zachwyt serafickiego św. Franciszka. Na odgłos tak zgodnego chóru, człowiek, co umie się modlić, czuje się wnętrznie pobudzonym do współzawodnictwa z ptaszętami i do modlitwy, kto zaś modlić się nie potrafi, ten musi doprawdy czuć się zawstydzonym. Co do mnie, wyznaję, że w takich chwilach modliłem się z większem nabożeństwem i skupieniem ducha, aniżeli może nieraz, stojąc u stóp ołtarza.

Jak wspaniałą jest zaś i jak pięknie się przedstawia przyroda w tych niezmierzonych lesistych przestworzach! Nie będę się kusił dotykać piórem i rzucić choćby tylko pobieżny szkic ich *flory* i *fauny*. Rzecz prawdziwie niepojęta, taka tu panuje rozmaitość drzew, krzewów i roślin. Wszystkie wiadomości z dziedziny przyrodoznawstwa, jakich lat temu tyle zaczerpnęło się z książek szkolnych, nie wystarczą, by chociaż w ogólnych zarysach wyliczyć główne ozdoby pysznego płaszcza, w jaki przyroda tutaj jest strojna.

2. W Villavicencio. — Na pustyni. — Rozkład dnia. — Gdzie i jak przepędzamy noc?

Z tem wszystkiem widzę jednak, że dałem się zbyt łatwo porwać zapałowi i ani się spostrzegłem, jak wypadłem z toku. Ciągnę zatem dalej wątek opowieści.

W czterech dniach przebyliśmy z Bogotá do Villavicencio, miasteczka, liczącego 1500 dusz, a położonego jakby na pograniczu pomiędzy częścią kraju już cywilizowaną, a drugą, o wiele rozleglejszą, w dziczy jeszcze pogrążoną. Po jednej jego stronie piętrzy się ściana *Kordylierów*, rozszerzających się aż do *Oceanu Spokojnego*, po drugiej zaś rozlegają się niezmierne płaszczyzny, dochodzące aż do przeciwnego brzegu Ameryki południowej, oblewanego falami *Oceanu Atlantyckiego*.

Miasteczko to przed kilkoma laty było nawiedzone pożarem i całkiem przez pożogę zniszczone, — nieszczęście, które teraz jeszcze lada dzień może się powtórzyć, wszystkie bowiem jego domostwa kryte są drzewem albo słomą. Domy prywatne odbudowano natychmiast, chrześcijanie jednak tutejsi nie mogą się jakoś zdobyć na wystawienie nowego domu Bożego. Jestto więc miasteczko bez kościoła, niepodobna bowiem mianem tem zaszczycić nędzną norę, ciasną i niechlujną, przeznaczoną na odprawianie Najświętszej Ofiary. Pomieścić się w niej może zaledwie 30-40 osób, a i tak niestety, na tutejszych mieszkańców jest jeszcze zbyt wielka! Dzisiaj np., dnia 2go lutego, w dzień, poświęcony Matce Boskiej Gromnicznej, kościół w czasie Mszy św. był prawie pusty. Za dzwonnicę służy drzewo, rosnące na pobliskim rynku; dwa dzwonki, przymocowane do gałęzi, zwołują wiernych do kościoła, żeby jednak w nie módz zadzwonić, potrzeba niemałej do tego zręczności. Zwykle ten lub ów chłopak wdrapie się na drzewo i ciągnie za sznury. Na tymże rynku widać już wystające z ziemi fundamenta mającego się wznieść kościoła, roboty jednak przerwano i mało jest nadziei, by kiedyś były na nowo podjęte. Gdyby tak pobożność dała się mierzyć termometrem, to możnaby śmiało powiedzieć, że w Villavicencio spadła do zera, jak wogóle u wszystkich prawie mieszkańców pogranicza kolumbijskiego.

Po dwudniowym wypoczynku, któregośmy użyli na zaopatrzenie się w niezbędne zapasy żywności, wynajęcie bydląt jucznych i wyszukanie dokładnie z okolicą obeznanego przewodnika, puściliśmy się w imię Boże w drogę.

Plan naszej wycieczki był bardzo prosty: postanowiliśmy mianowicie rozpatrzyć się nasamprzód w *południowej* części rozległej puszczy, następnie zwiedzić jej *środek*, a wreszcie zapuścić się w jej część *północną*. Nie zatrzymując się zatem wcale w miasteczku San Martin (liczącem około 2,000 mieszkańców, a położonem około 70 kilometrów na południe od Villavicencio), od którego cała ta równina bierze nazwę, puściliśmy się śmiało na pustynię.

Było nas razem *ośmiu*: trzech, o których już wyżej wspominałem, piszący niniejszy list, dalej lekarz (nadzwyczaj czynny i dzielny pod każdym względem **Pomocnik** salezyański, który bezinteresownie ofiarował mi swoje usługi na cały czas podróży), pewien O. Dominikanin, misyonarz już od 32 lat, znający te stepy wyśmienicie, i dwóch parobków, którzy mieli sobie powierzone bydlęta juczne i muły. Jechaliśmy w kierunku południowym przez trzy dni z rzędu, nie napotkawszy po drodze żywej duszy; na dwa tylko nędzne szałasy natrafiliśmy, w których przepędziliśmy noc, zresztą nigdzie ani śladu ludzkiej istoty; bydła, pasącego się wolno na niezmierzonych, trawą porosłych płaszczyznach, widzieliśmy tylko niewiele. Od czasu do czasu natrafiliśmy na kępę drzew, a niekiedy lasek, który nam się wydawał jakoby *oaza* na puszczy, i do którego zawsze z przyjemnością zajeżdżaliśmy, jużto ponieważ tam znaleść można było miły cień, zachęcający do wypoczynku, już też ponieważ zwykle biło tam jakie źródełko, wystarczające, by napoić zmęczone bydlęta.

Ustanowiliśmy też sobie stały rozkład godzin, którego ile możności ściśle staraliśmy się trzymać.

Wczas rano odprawiała się Msza św., i to w miejscu, gdzieśmy właśnie odbywali nocleg: czy to w leśnej puszczy, na otwartem polu, lub też nad brzegiem rzeki. W tym celu wiózłem ze sobą, począwszy od Bogotá, wszystkie potrzebne do sprawowania Ofiary św. przybory, a mogę dodać, że w czasie całej wycieczki, wyjąwszy tylko cztery dni, kiedy to zgoła było niemożebnem, zresztą codziennie mogłem odprawić Mszą św.

Po Mszy zjedliśmy śniadanie, stosunkowo bardzo skromne, składające się z kawy i kilka sucharów, potem siadało się niezwłocznie na koń i puszczaliśmy się w dalszą drogę, nie zatrzymując się nigdzie, aż o godzinie 6ej wieczorem, by spocząć i noc przepędzić. Tu był nasz główny popas; tu spożywaliśmy (można powiedzieć) jedyny w ciągu całego dnia posiłek. Otwieraliśmy tedy zapasowe

tłomoki i z najlepszym w świecie apetytem raczyliśmy się tą trochą jadła, jakąśmy z sobą byli zabrali jeszcze z Bogota, do tego z wielką oszczędnością, by nam później nie zabrakło potrzebnego pożywienia: w tych bowiem stronach, za wszystkie miliony Rothschilda nie możnaby nabyć ani jednego nawet jajka, dla tej prostej przyczyny, że ich tu wcale niema.

Następowała noc, najbardziej romantyczna chwila z codziennych wypadków.

Mieliśmy wprawdzie na swoje potrzeby namiot polowy, nie mógł jednak pomieścić więcej nad *dwie* osoby, rozbiliśmy go więc tylko raz jeden w ciągu całej tej wycieczki, jużto dlatego, żeśmy wszyscy pod nim pomieścić się nie mogli, jużteż ponieważ rozbijanie jego połączone było z różnemi trudnościami i dużo stosunkowo zabierało czasu, przedewszystkiem jednakże obywaliśmy się bez niego, ponieważ po całodziennej jeździe czuliśmy się zmęczonymi na śmierć.

Noc przepędzaliśmy na sposób wszystkich tutejszych podróżnych, z których każdy wozi ze sobą t. z. *hamak*, albo też *chinchorro*.

Hamak jestto kawał mocnego płótna, na którego obydwóch końcach przymocowane są sznury; te przywięzuje się do pnia, a czasem do gałęzi dwóch, dość blisko przy sobie rosnących drzew, tak że płótno wisi w powietrzu, w pewnej od ziemi wysokości. Oto, jak się urządza tutaj łóżko: tylko rzucić się na nie i spać. Często jednakże łóżko takie jest niewygodnem z powodu gorąca. Zatem pospolicie lepsze w takim razie oddaje przysługi *chinchorro*.

Chinchorro jestto rodzaj sieci, uplecionej z twardych włókien liści palmowych, posiadającej na obu końcach liczne sznurki, dających się z łatwością skręcić w jeden, dość gruby powrózek. Gdy podróżny chce się ułożyć do snu, lub tylko pragnie sobie wypocząć, wtenczas przywięzuje się (w taki sam, jak u *hamaka* sposób) końce sznurów do dwóch drzew, tak że sieć zawiśnie w powietrzu, a ma się tę dogodność, że ze wszystkich stron czuje się miły chłodek, a kiedy ten, nad ranem zwłaszcza, daje się śpiącemu we znaki, można się przykryć derką, która na wszelki przypadek leży narzucona na nogach.

A jużto największą byłoby nieroztropnością spać na gołej ziemi, nasamprzód z powodu wilgoci, jaką ziemia nasiąkła i którą gęsta zazwyczaj trawa podtrzymuje, a więcej jeszcze z powodu jadowitych gadów, których wszędy wielkie pełza mnóstwo, szczególnie w pobliżu wody. — Jeżeli pada deszcz, niema innej rady, jak zwinąć się w kłębek i dać się zmoczyć. Szczęściem, w ciągu całej tej długiej wycieczki ani razu nie byliśmy zmuszeni użyć takiej przymusowej kąpieli.

W pierwsze noce, nieprzyzwyczajony do podobnego łóżka, pomimo wielkiego zmęczenia, długo nie mógłem zasnąć (do czego niezawodnie przyczyniało się także i to, że kładłem się spać w ubraniu), niezadługo jednak nawykłem do takiego sposobu przepędzania nocy i zasypiałem tak prędko i tak twardo, że mógłem pójść o lepszą ze wszystkimi towarzyszami podróży. Łóżka zaś, jakie właśnie opisuję, nietylko używają podróżni, kiedy ich noc zaskoczy w lesie, lecz także miejscowa ludność; wszyscy niemal bez wyjątku przekładają *hamak* albo *chinchorro* nad wszelkiego innego rodzaju łóżko. Niema także domu, w którymby nie było na środku izby rozwieszonego *hamaka* lub *chinchorro*; pierwszy lepszy, który chce wypocząć, nawet w ciągu dnia, rzuca się na nie tak, jak jest, i zażywa wczasu.

Rano budziły nas zwykle wróble swojem świegotaniem. Wstawaliśmy z brzaskiem dnia, umyliśmy się i wszelką odbyli toaletę nad brzegiem jakiego strumyka, potem przygotowaliśmy ołtarzyk do odprawienia Mszy św.; po Mszy nastąpiło śniadanie (jak już raz mówiłem wyżej), a wreszcie siadało się na koń i ruszaliśmy w imię Boże w dalszą podróż, nie zatrzymując się nigdzie, aż znowu wieczorem na nocleg.

3. Spotkanie z niedźwiedziem i wężem. — Małpy. — Zachwycająca okolica.

Ponieważ przestrzeżono nas już dawniej, byśmy jechali ostrożnie i dawali na wszystkie strony baczność, gdyż step obfituje w drapieżne zwierzęta, zatem trzech z nas zaopatrzyło się w dobre strzelby, wszyscy inni zaś mieli kordelasy (noże myśliwskie), długości jednego metra. Strzelby oddawały nam wielkie przysługi, gdy przyszło zwłaszcza co upolować, nóż przydał się najwięcej wtedy, gdy chodziło o torowanie sobie drogi w lesie.

W przeciągu wszystkich 28 dni podróży nie mieliśmy z dzikiemi zwierzętami ani jednego niebezpiecznego spotkania. Prawda, że wiele tygrysów i lwów wałęsa się po tej puszczy, ale nigdy się nie rzucają na ludzi, jeżeli ci ostatni podróżują gromadnie. Zresztą nie cierpią też prawie nigdy głodu, wystarczy im bowiem wychylić się z lasu i porwać pierwsze lepsze pasące się cielę, by głód zaspokoić. Zato, więcej niż ludzie, muszą



Misyonarze salezyańscy na wycieczce.

się przed nimi mieć na baczności zwierzęta domowe, na które lubią się rzucać. To też właściciele trzód polują na nie bez przestanku. Jeden z parobków, który nam towarzyszył, zapewniał, że ze strzelby, którą miał przewieszoną przez ramię, położył już 40 lwów i tygrysów; drugi znowu przewodnik, liczący zaledwie 18 lat, zabił ich już 16 i sprzedał mi skórę pysznego tygrysa, jeszcze dosyć świeżą, bo zaledwie kilka dni temu, jak go zastrzelił.

Co się nas tyczy, nie mieliśmy przez cały czas wycieczki nigdy sposobności bronienia się od napadu dzikich zwierząt, bo ani razu nie byliśmy napadnięci. Spotkaliśmy tylko pewnego dnia *niedźwiedzia*, który zaledwie nas zoczył, uciekł natychmiast. Raz także napotkaliśmy na węża *cascavel*; położył się właśnie na ścieżce, przez którą mieliśmy przechodzić, zasyczał i podniósł się na ogonie, jak gdyby chciał nam wzbronić przejścia; wtedy koń mój strachnął się i nie chciał iść naprzód, za jego przykładem poszły inne, zjechaliśmy więc nieco na bok, okrążywszy gadzinę, która ze swej strony dała nam i naszym bydlętom spokój. Wogóle gady te nie napadają nigdy, chyba że je się drażni.

Przeprawiając się przez lasy, niemałą dla nas rozrywką były małpy; wystraszone naszem zjawieniem się, skakały z zadziwiającą zręcznością z gałęzi na gałąź; matki biegły zaraz do swych młodych i, wrzeszcząc przeraźliwie, chciały nam wzbronić przystępu. Jest wiele gatunków tych małp: jedne wielkie, drugie małe, nie są jednak wcale niebezpieczne i raczej bawią, aniżeli straszą, podróżnego.

Po trzech dniach drogi zatrzymaliśmy się w pewnej okolicy, która wydawała nam się czarującą. Największa z tutejszych rzek, zwana *Ariari*, toczyła swe nurty u naszych stóp, nieco dalej wił się strumyk, zwany *Chajurray*; wzdłuż jednego z jego brzegów ciągnęła się prześliczna laguna, mająca mniej więcej dwa kilometry długości, a jeden szerokości. Z jednej strony rozlegały się głuche lasy, z drugiej zaś, jak okiem dojrzeć, ciągnęła się goła płaszczyzna, ale wzniesiona nakształt płaskowyża, tak że zabezpieczoną była od powodzi pobliskich rzek. W okolicy tej zabawiliśmy przez trzy dni, szukając najodpowiedniejszej miejscowości dla urzeczywistnienia naszego projektu, tj. sprowadzenia i umieszczenia tamże trędowatych.

W pobliżu odkryliśmy jeszcze jedną rzeczkę, małą wprawdzie, lecz głęboką, zwaną *San Vicente*. Pragnąc przeprawić się przez nią jak najprędzej, wystawił nasz inżynier-kolega w przeciągu dwóch godzin z powiązanych ze sobą pni drzewa most, istny *ponton* wojskowy. Nie bardzo był wprawdzie bezpieczny, chwiał się zwłaszcza mocno pod stopami, tak iż ze strachem, trzymając się wszyscy za ręce, przechodziliśmy po nim zwolna na drugi brzeg. Jako ostatni szedł jeden z naszych ludzi, wyborny pływak, gotów każdej chwili rzucić się w rzekę, w razie gdyby kto z nas stoczył się we wodę. Udało się nam jednak przeprawić się szczęśliwie, przebyły również rzeczkę nasze bydlęta (jak zwykle wpław), i tak mogliśmy oto tego dnia odbywać dalej swoją wycieczkę i rozpatrywać się dowoli w całej okolicy tak długo, aż zapadająca noc zmusiła nas, poszukać sobie miejsca na spoczynek.

4. Pierwsi Indyanie. — Chrzest na stepach.

Pod wieczór tego samego dnia (18go stycznia) spotkaliśmy po raz pierwszy Indyan. Było ich pięciu: mężczyzna, około 30 lat mieć mogący, dwa wyrostki, od 15-20 lat, i kobieta z dzieckiem na ręku. Spostrzegli nas już z daleka i przestraszeni zaczęli uciekać. Wołaliśmy na nich i dawaliśmy im znaki przyjaźni; misyonarz Dominikanin podjechał ku nim, by im się dać poznać i ich uspokoić. Wtedy się zatrzymali; przyobiecaliśmy dać każdemu z nich podarunek, jeżeli nam będą towarzyszyć do naszego obozowiska. Dwaj młodzi, po dłuższem naleganiu z naszej strony, zgodzili się na to; reszta na żaden sposób nie dała się namówić, lecz schroniła się do łódki. Obydwom zuchom, którzy nam towarzyszyli, podarowałem kilka chustek, szpilek i innych drobnostek: przyobiecali nam, że rano powrócą do nas, i to w większej liczbie.

Jakoż około godziny 10ej przybyli w samej rzeczy: nie brakowało nikogo; młodzieńcy nieśli jaja żółwie na sprzedaż, inni znowu naszyjniki, wyrabiane ze lwich i tygrysich kłów. Za kilka chustek i różnych innych drobnostek, oraz świecidełek, oddali nam wszystkie jaja i kilka naszyjników, które przy najbliższej sposobności poślę do naszego muzeum misyjnego we Valsalice. Cały dzień przepędzili z nami, tym razem już bez najmniejszej obawy. O. Dominikanin rozumiał ich narzecze, zapytał zatem mężczyznę i jego żonę, czy pozwolą ochrzcić dziecko, na co się zgodzili z widoczną obojętnością; ochrzciłem je, dając mu na imię Wincenty. Mężczyźni nie mieli innego ubrania, jak szmat płótna naokoło bioder, kobieta zaś

miała na sobie większy kawał płótna, zwieszający się z ramion do stóp. Twarz mieli pomalowaną na czerwono, uszy przedziurawione, a w nich przeciągnięte przez otwór okrągłe drewienko; na nogach i rękach nosili niciane kółka, ściśle między sobą powiązane, w przekonaniu, że to dodaje im siły; włosy były kędzierzawe, jak u murzynów. Kolor skóry był prawie bronzowy, budowa ciała dość kształtna i silna, zwłaszcza u młodych. Język ich ma wiele brzmień gardłowych; gwarę ich rozumiał cokolwiek O. Dominikanin. Jeden z młodych Indyan mówił dosyć biegle po hiszpańsku, reszta mężczyzn umiała przynajmniej po kilka słów, kobieta zaś nic zgoła. O Indyanach jednakże i przeróżnych ich szczepach, o ich zwyczajach i obrządkach, pomówię kiedy indziej, opierając się przedewszystkiem na opowiadaniach O. Dominikanina, który (jak już raz wyżej wspomniałem) przebył pomiędzy nimi 32 lata.

5. Nieszczęśliwy wypadek.

Po całodziennym wypoczynku zamyślaliśmy puścić się znowu w drogę i przenieść się (jakeśmy to sobie z góry byli ułożyli) do części *środkowej* równiny San Martin; nikt jednak nie chciał nam w tamte strony towarzyszyć, nie znając drogi i obawiając się przygód, o jakie nie trudno w miejscu dotychczas niezbadanem. Chcąc niechcąc trzeba było zatem wracać do miasteczka San Martin i tam dopiero starać się kogoś wynaleźć, któryby się nie bał puścić się razem z nami w podróż.

Tymczasem zaszedł wypadek, mogący smutne za sobą pociągnąć skutki. Jeden z naszego grona, i to właśnie lekarz, który dobrowolnie ofiarował był swoje usługi na cały czas wycieczki, im głębiej zapuszczaliśmy się w step, tem większe dawał oznaki choroby umysłowej. Przyczyniły się do tego niezawodnie upały, na jakie byliśmy wystawieni w ciągu dnia, trudy podróży, liche pożywienie, jak również niewygodne spanie. Prawie nigdy nie trzymał się kupy, tylko uganiał się po stepie, wystawiając się tem samem na niebezpieczeństwo zabłąkania się na nieznanych obszarach. Razu pewnego stracił się w samej rzeczy i potrzeba było szukać go kilka godzin, zanim go się odnalazło. Pewnej nocy uciekł nam znowu i spał samotny w lesie; zdala dochodził nas odgłos strzałów, i obawialiśmy się już na seryo, czy mu się jakie nieszczęście nie przytrafiło. Około północy koń wrócił bez jeźdzca, zaczem obawa nasza rosła, rano jednak odnaleźliśmy go; nie stawiając najmniejszego oporu, powrócił do towarzystwa. Odtąd stał się istną męką dla wszystkich, a szczególnie dla mnie, który wziąłem na siebie wszelką za niego odpowiedzialność. Nie spał ani we dnie ani w nocy. Krzyczał i rozmawiał ze sobą, były to jednak słowa bez sensu i składu. Niekiedy dostawał wyraźnych napadów szaleństwa.

Razu pewnego np. stanął przed nami z pianą na ustach, cały drżący, oczy mając nabiegłe krwią, a w ręku trzymając wielki nóż, którym wywijał nad głową, grożąc, że nas wszystkich pozarzyna. Udało nam się wprawdzie rozbroić go i uspokoić, ale ciągle trzeba się było mieć na baczności.

Innym znowu razem nie chciał wspólnie z nami pójść na zwiady, a był to właśnie dzień, w którym spotkaliśmy się z Indyanami. Kiedyśmy już wrócili do obozowiska, zastaliśmy go trzymającego w ręku długą dzidę, z której świeża krew jeszcze ciekła; twarz miał krwią zbroczoną, koszulę i całe ubranie również krwią zwalane.

—„Ojcze Ewazy!“ rzekł mi, „nareszcie odszukałem je i zabiłem. Pokażę Ci ich łby. Co to była za zażarta walka! Alem jednak zwyciężył. Teraz dopierom szczęśliwy! Przyobiecałem przyjaciołom w Bogotá, że nie wrócę, nie ubiwszy wprzódy przynajmniej dwóch tygrysów. Dziś dokazałem swego i zaniosę im łby i skórę jako dowód pomyślnych łowów.“

Cóż to było takiego? Owego właśnie dnia zabiliśmy cielę; medyk uparł się dopomagać przy tej operacyi. Z tej sposobności skorzystał, by dzidę zbroczyć krwią, krwią również umalował sobie ręce, twarz, zbryzgał nią całe ubranie, poczem wmawiał w siebie i innych, że to krew tygrysa i że on go przeszył dzidą. Pokazywał przytem dwie czaszki tygrysie, które przypadkiem gdzieś znalazł, ale były już suche i niezawodnie od wielu już miesięcy bielały na stepie. Koniecznie chciał nabyć ową dzidę i ofiarował za nią, ni mniej ni więcej, jak swój złoty zegarek; ma się rozumieć, że na taką zamianę nie przystałem.

Począwszy od owego dnia jedynem jego marzeniem było, spotkać się z tygrysami i walczyć z nimi na białą broń, oko w oko; całemi godzinami przesiadywał pod lasami, ową historyczną dzidę dzierżąc w ręku, w pozie bohaterskiej, czekając na tygrysa, przekonany, że każdej chwili dziki zwierz wyjdzie z lasu i rozpocznie się walka. Sfiksował do reszty. To też zaledwie przybyliśmy do San Martin, zmyśliłem kilka telegra

mów, udając, jakoby je przysłano z Bogotá, które to telegramy nakazywały mu wracać natychmiast do stolicy; uwierzył im od razu i tak pod dobrą opieką przybył szczęśliwie, lecz już zupełnie obłąkany, do Bogotá, jak mnie o tem zawiadomiła jego rodzina. Dziwna rzecz! w chwilach napadu, ile razy mu zacząłem mówić o księdzu Bosko, stawał się natychmiast spokojniejszym i pokazywał mi pamiątkę po naszym ukochanym Ojcu, jaką zawsze nosił zawieszoną na szyi, dodając, że X. Bosko ustrzeże go od wszelkiego nieszczęścia i przyprowadzi szczęśliwie do Bogotá. Oby Najświętsza Marya Panna Wspomożycielka, przez zasługi świątobliwego naszego Ojca, wróciła jak najrychlej zdrowie temu naszemu przyjacielowi, wzorowemu katolikowi i przykładnemu ojcu rodziny!

6. Miejsce na przyszły szpital. — Smutna wiadomość. — Trzeba powracać.

Po odjeździe lekarza przystąpiliśmy na dobre do zbadania *środkowej* części *Llanos de San Martin*. Nie tracąc czasu wynajęliśmy kilka bydląt, a zabrawszy z sobą doświadczonego i dokładnie z miejscowością obeznanego przewodnika, puściliśmy się w drogę. Po upływie trzech dni, ujechawszy już spory kawał drogi, natrafiliśmy na osadę, mogącą liczyć z jakie 40 dusz, przeważnie pasterzy bydła. Osada ta nazywa się Jiramena. Odpoczęliśmy tam kilka godzin, potem przeprawiliśmy się łódką na drugi brzeg *Meta*, jednej z największych rzek w tych okolicach. Opierając się na udzielonych nam informacyach, spodziewaliśmy się znaleść tu upragnione miejsce na założenie wielkiego szpitala dla trędowatych, i w rzeczy samej takowe znaleźliśmy. Jestto płaszczyzna, rozciągająca się na jakie 50 kilometrów wzdłuż, a kilka wszerz: z jednej strony oblewa ją rzeka *Meta*, z drugiej zaś inna, nieco mniejsza od niej, nazwiskiem *Nare*, która w tem miejscu wpada do *Mety*, tworząc w taki sposób wcale obszerny i do naszych celów w sam raz nadający się półwysep. Naszym ideałem było właśnie znaleść kawał ziemi dosyć obszerny, dobrze nawodniony, żyzny i zdrowy, gdzieby można zebrać 15 do 20 tysięcy trędowatych z całej Kolumbii. Miejscowości tej, którąśmy teraz tak szczęśliwie znaleźli, daliśmy pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi, tem więcej, iż rzeka *Meta* jest spławną. Na niej będzie można tutaj przewieść wszystkich trędowatych z prowincyi północnych Kolumbii. Od dwóch już lat zaprowadzono na tej rzece żeglugę, przez co nastąpiło połączenie z *Orenoco*, a przez *Orenoco* z Oceanem. Parowce kompanii francuskiej dowożą towary europejskie aż do portu Orocue, o dzień drogi odległego od miejsca, przez nas wybranego. Miejsce to więc zaleca się z wielu względów i cenne nader przedstawia korzyści, a o ile nam się zdaje, rząd kolumbijski, przekonany o jego dogodności, nie będzie wzniesieniu projektowanego lazaretu w tej, a nie innej stronie, żadnych stawiał przeszkód.

Wieczorem wróciliśmy do Jiramena, gdzie smutne czekały nas wieści. Goniec, wysłany z ramienia rządu, przyniósł nam naglące wezwanie, by wracać bez zwłoki, w niektórych bowiem prowincyach rzeczypospolitej wybuchła rewolucya, koniecznie potrzeba zatem było wracać spiesznie do stolicy, zanim się stan rzeczy pogorszy.

Następującego więc dnia, 30^{go} stycznia, puściliśmy się z powrotem do Villavicencio. Tylko O. Dominikanin zatrzymał się w Jiramena, celem wypełnienia niektórych obowiązków duszpasterskich, do których się dawniej już był zobowiązał, a które wymagały dłuższego jego tamże pobytu, tem bardziej, iż minęło już lat cztery, odkąd po raz ostatni w tejże osadzie przebywał.

7. Niebezpieczeństwo życia, szczęśliwie zażegnane. — Odebranie nam mułów.

W pewnem miejscu, przeprawiając się przez rzeczkę, zwaną tak samo, jak pobliska osada, *Jiramena*, o mało nie zaszła katastrofa, mogąca jak najgorsze za sobą pociągnąć następstwa. Tego poranku wziąłem pod wierzch innego muła, nie znałem jeszcze zatem ni jego wad, ni kaprysów. Brzeg rzeki *Jiramena* był spadzisty, a nie było innej rady i chcąc niechcąc trzeba go było przebyć, jak się dało; jeszcze w sam raz spostrzegłem grożące mi niebezpieczeństwo i chciałem z muła zeskoczyć, ten jednakże nie dał mi na to czasu: dał susa i czynił wysiłki, by się na drugi brzeg wygramolić, stracił przytem równowagę i stoczył się do rzeczki razem ze mną. Znalazłem się do pasa zanurzonym w wodzie. Na nieszczęście jedna noga zaplątała mi się pod mułem, tak że nie mogłem się wcale ruszyć. Muły zwykle są bardzo kapryśne, a gdy upadną, mają ten brzydki zwyczaj, że usiłując powstać, kopią wpierw zajadle na wszystkie strony, bez żadnego względu na miejsce i osoby; są także takie, które podnoszą się w taki sposób, że padłszy, dajmy na to, na lewy bok, przewra-

cają się na grzbiecie na stronę prawą, również żadnej na leżącego pod nimi jeźdzca nie zwracając uwagi. Co się tyczy pierwszego niebezpieczeństwa (otrzymania kilku silnych kopnięć) to nie obawiałem go się zbytnio, ponieważ leżałem z przeciwnej strony kopyt mojego bucefała, — te nie mogły mnie zatem dosięgnąć, — zato groziło mi drugie niebezpieczeństwo t. j. żeby mułowi nie przyszła naraz fantazya, wywrócić na grzbiecie koziołka i przewrócić się na przeciwną tej, na którą był padł, stronę, gdyż w takim razie byłby mnie niechybnie wgniótł w błoto i zatopił w wodzie.

Wszystko jednakże, dzięki Panu Bogu, poszło dobrze: muł podniósł się i wstał na nogi z tej strony, na którą był upadł, a moje całe nieszczęście było tylko to, że przeleżałem się kilka minut we wodzie. Całe zajście trwało zatem niedługo, a towarzysze moi wskoczyli zaraz we wodę, spiesząc mi z pomocą. Nie było żadnych groźniejszych następstw; wszystko skończyło się na strachu, na zgnieceniu jednej nogi, zadraśnięciu policzka i niepożądanej kąpieli. Musiałem zaraz zmienić całe ubranie, nie czekając, aż mi samo wyschnie na skórze, gdyż inaczej mógłbym się był nabawić porządnej febry.

Podobny wypadek przytrafił się kilka dni temu jednemu z naszych towarzyszy, ale na lądzie. Niebezpieczeństwo było wtedy o wiele groźniejsze, muł bowiem, który postępował za tym, który upadł, strachnął się do tego stopnia, iż w szałonym pędzie puścił się w las, przez który właśnie przejeżdżaliśmy, unosząc ze sobą jeźdzca, który ostatecznie spadł z niego dość szczęśliwie, zawadziwszy o pierwsze drzewo, jakie napotkał. I wtedy wszystko się skończyło na potłuczeniu i kilku zadraśnięciach, które zresztą żadnej nie pozostawiły po sobie cięższej rany.

Opowiadam o tem wszystkiem, ażeby drogi Ojciec poznał, jak wielką nas Pan Bóg w ciągu tej podróży otaczał opieką, i ażeby wspólnie z nami dziękował Mu za wszystkie, niezliczone Jego dobrodziejstwa.

Nareszcie, dnia 31go stycznia, o godzinie 5ej po południu, stanęliśmy szczęśliwie w Villavicencio. Przez cały ten czas podróży przeszliśmy, rzec można, *per ignem et aquam* (= przez ogień i wodę), a to we dnie i w nocy, bez żadnych jednak fatalnych następstw.

Mówię, że „*przeszliśmy przez ogień,*“ gdyż w samej rzeczy w niektórych godzinach dnia słońce sypie tutaj istny żar z nieba, rozpalając step nadmiernie. Wystarczy powiedzieć, że *Llanos de San Martin* położone są na wysokości 4go równoleżnika szerokości północnej, znajdują się więc bardzo blisko równika, a do tego nie wznoszą się nad powierzchnię morza wyżej nad 200 metrów, gorąco jest zatem takie, że prawie dusi. Dodać tu jeszcze wypada, że miesiąc styczeń jestto właśnie czas palenia trawy na niezmierzonych tych stepach; jest tu bowiem w zwyczaju, palić ją wtenczas, kiedy dojdzie do wysokości jednego metra, lub wyżej, i uschnie, ażeby świeża trawa tem bujniej na jej miejscu wyrosła. Gdzie okiem rzucisz, ze wszystkich stron wznoszą się słupy ognia i dymu, zdające się sięgać stropu niebios. Pożary te zwiększają tylko gorąco, już i tak nieznośne i dające się we znaki ludziom i bydlętom. Na szczęście, w godzinach, kiedy upał naj większy, a więc od 9ej rano do 3ej po południu, wieją stosunkowo chłodne, wilgocią nasiąkłe *wiatry alizejskie* od strony Oceanu Atlantyckiego. Ich wianie łagodzi gorąco i umożliwia podróżowanie na tych obszarach nawet w letniej porze.

Zresztą, co się nas tyczy, byliśmy z góry na wszelki wypadek przygotowani. I tak, by uniknąć np. *udaru słonecznego*, zabezpieczyliśmy głowę stosownie do danych nam wskazówek. Noszą tu zazwyczaj pod kapeluszem bawełnę, która utrzymuje wilgoć, albo obwiązują głowę chustką, zmaczaną w spirytusie, lub też kładą na głowę pewne liście i rośliny, którym naturaliści przypisują własność chronienia od *udaru słonecznego.* Dzięki Panu Bogu, te i tym podobne zabiegi wyszły nam na dobre i tak oto przybyliśmy szczęśliwie na miejsce.

Teraz trzeba nam na gwałt wracać do Bogotá, ale cóż, kiedy na żaden sposób i za żadną cenę nie możemy nająć mułów. Przyczyna tego ta, że żyjemy w czasie rewolucyi, kiedy to żadne prawo nie broni ni własności, ni właściciela. Podróżny jedzie sobie np. za swojemi sprawami spokojnie na koniu: ni stąd ni zowąd zastępują mu drogę nieznane indywidua, które jeźdzca zmuszają zsiadać i oddać sobie jego wierzchowca. Na nic wszelkie przedstawienia i prośby, a już zaszkodziłby sobie bardzo, ktoby się uciekł do pogróżek. Odpowiadają, że *bando politico* potrzebuje właśnie tego konia i chcąc niechcąc, trzeba ustąpić, by zapobiedz czemuś jeszcze gorszemu.

Niedawno temu, pewnego dnia, krótko po południu, za sprawą nieznanych rewolucyonistów, zdołano uprowadzić w samejże stolicy Kolumbii, z publicznych stajni, znajdujących się w środku miasta, przeszło 800 najlepszych koni. Na prowincyi dzieje się jeszcze gorzej, a ponieważ brak tam siły

zbrojnej, którąby w danym razie chciała i umiała bronić własności i właścicieli, więc też pełno wszędzie nadużyć: zabierają komu chcą, konie, muły, woły i t. d. Wszystko staje się łupem rabusiów, którzy za pomocą środków, w tak łatwy sposób zyskanych, utrzymują zarzewie rewolucyi i zwiększają swoje szeregi.

Wszyscy zatem właściciele starają się ukryć swój dobytek, lub też sprzedać go, jeżeli się da, ale nikt nie chce bydląt wynająć; sami obywają się nawet bez nich. Boją się, by w drodze do Bogotá nie zabrano nam mułów na cele pierwszej lepszej uzurpatorskiej władzy, bo nigdyby ich więcej nie oglądali.

W ostatecznym razie, nie mogąc nająć, kupimy sobie konie, bez względu na niebezpieczeństwo stracenia ich gdzie w drodze, albo też każemy się konwojować sile zbrojnej, by uniknąć, lub przynajmniej zmniejszyć toż niebezpieczeństwo.

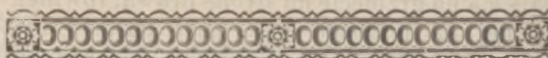
Gdy przybędę do Bogotá, uwiadomię Ojca o przebiegu tej najświeższej rewolucyi, jak również o tem, co się dzieje w rzeczypospolitej, a skoro tylko będę mógł, wykończę niniejszą korespondencyę, uzupełniając to, co tu opuściłem; opowiem zwłaszcza coś o Indyanach i o zamierzonych przez nas wpośród nich misyach.

Jeżeli rewolucya znajdzie tu przystęp i się rozwielmoży, to oczywiście nie skończy się tak prędko, a wtedy przynajmniej na pewien czas trzeba będzie zawiesić wszelkie projekta, tyczące się wystawienia szpitala dla trędowatych i rozpoczęcia misyi. Widziałem ja na własne oczy, co niedawno temu działo się w Brazylii i gdzieindziej. Rewolucya w Brazylii przeciągła się lata całe, to samo zaszło w Perú, Ekwatorze i po innych republikach południowo-amerykańskich. Rewolucye trwają tu niezmiernie długo. Wystarczy, by oddział, złożony z 200 ludzi, osadził się gdzie w górach, lub na stepie, a wojna domowa będzie się przeciągać w nieskończoność z wszystkiemi, nierozłącznemi od niej następstwami. Oby Wszechmogący Bóg wybawił tę rzeczpospolitą od strasznej klęski wojny domowej!

Przyjmij, Najprzew. i najdroższy Ojcze, niniejszą, może przydługą korespondencyę. Módl się także, proszę, za swymi synami, Salezyanami w Bogotá, w szczególności zaś za niżej podpisanym, który z wszelką pewnością potrzebuje modlitw więcej od wszystkich innych, a który teraz i zawsze

pozostaje pokornym w Panu synem

X. Ewazy Rabagliati.



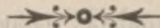
PIERWSZE

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział IX.

Ciężkie przejścia i łzy. — Promyk z nieba. — X. Piotr Merla. — Szopa na Valdocco. — Wybuchy radości. — Modlitwa dziękczynna. — Pożegnanie łąki.

Wspólną pielgrzymką, odbytą z rana w pamiętną niedzielę Palmową r. 1846 do Madonna di Campagna (kościoła i klasztoru *Matki Boskiej Polnej*), złożyli chłopcy z Oratoryum uroczyście swoje losy w ręce Najświętszej Panny. W tymże czasie X. Bosko wywiadywał się i polecił także innym wywiadywać się o stosownem jakiem na *kaplicę świąteczną* miejscu, lecz zanim słońce dnia tego zaszło, miały jeszcze ich nadzieje, a przedewszystkiem serce X. Bosko, być wystawione na ciężkie doświadczenie.

Około godziny 2ej po południu prawie wszyscy chłopcy zebrali się już na łące. Wiedząc, że to po raz ostatni danem im było z niej korzystać, znajdowali w tem szczególniejszą przyjemność, że przebiegali łąkę wzdłuż i wszerz, tratując ją bez miłosierdzia. Niezawodnie nie przyszło im na myśl liczyć ile, ale z pewnością niemałą ilość korzonków trawy zniszczyli tego popołudnia, przez co ani chybi dotkliwy poniosła uszczerbek pokaźna ojcowizna braci Defilippi.

O zwykłej godzinie odbył się wykład katechizmu, poczem zaśpiewano pieśń, po śpiewie nastąpiła nauka, — słowem, część religijna zebrania świątecznego odprawiła się, jak po inne razy. Po nauce chłopcy podjęli na nowo ulubione swoje gry i zabawy, jedna atoli rzecz, dotąd nigdy niebywała, uderzyła ich oczy i odjęła niejednemu z ich grona ochotę do zabawy.

Ten, co przedtem był duszą każdej rozrywki i co, jak drugi św. Filip Nereusz, stawał się maluczkim z maluczkimi, śpiewając, ba-

wiąc się i biegając wespół z nimi, — X. Bosko stał teraz samotny w jednym końcu łąki, zamyślony i smutny. Było to może po raz pierwszy, że chłopcy widzieli go tak odosobnionym. Na jego ustach nie wykwitał tym razem słodki uśmiech, który tak bardzo ich zawsze uszczęśliwiał, wyraz twarzy miał smętny i stroskany, a oczy mimowolnie zachodziły mu łzami. Od czasu do czasu przechadzał się i modlił gorąco. Kilku chłopców, widząc go w takiem przygnębieniu, podchodziło ku niemu, by mu dotrzymywać towarzystwa, lecz on ich z lekka odsuwał od siebie, mówiąc: „*Idźcie i bawcie się, moje chłopaczki! Zostawcie mnie samego!*“

Jakiż był właściwy powód tego smutku?

X. Bosko uginał się w tej chwili pod ciężarem boleści, jakiej żadne pióro oddać niezdolne. Był on jako rolnik, który widzi nad sobą niebo zaciemnione a nad głową wiszącą, gradem brzemienną chmurę, co zagraża jego łanom i ma mu za chwilę zniweczyć wszystką jego pracę i długo pieszczone nadzieje; podobny był do pasterza, zmuszonego opuścić ulubioną trzodę i zostawić swe jagniątka na pastwę drapieżnych wilków; jak ojciec, lub raczej czuła matka, oderwana przemocą, może na zawsze, od ukochanych dziatek.

Rozmyślał on tak: *Moi dotychczasowi pomocnicy odwrócili się odemnie, zostawiając mnie oto samego z 400 przeszło chłopcami; jestem wyczerpany na siłach, zdrowie mam silnie nadwątlone, co więcej, za dwie godziny kończy się termin, w którym wolno mi jeszcze przebywać na tej łące. Trzeba mi na gwałt innego miejsca, gdziebym mógł chłopców zgromadzać, i to już na przyszłą niedzielę (o czem powinienbym ich dziś jeszcze uwiadomić), takiego miejsca zaś, mimo najtroskliwszych poszukiwań, nie mogę nigdzie znaleść. Zatem tego jeszcze wieczora musi nastąpić koniec Oratoryum .... A więc na wiatr poszły wszystkie poniesione trudy i starania? ... Nadaremnie wylałem tyle potu i znoju? ... Czy chcę, czy nie chcę, przyjdzie mi rozpuścić i pożegnać na zawsze tylu chłopców, którzy się do mnie szczerze przywiązali, pozostawić ich na nowo samym sobie, patrzeć, jak się znowu zaczną wałęsać po ulicach i placach publicznych, grzęznąć w występkach, kierować na rzezimieszków, gubić na ciele i duszy? .... Alež to nie może być przecież wolą Bożą!* .....

Gdy bił się z temi i podobnemi myślami, żałość i zmartwienie owładnęły nim tak, że silne łkanie wstrząsnęło jego piersią i gorące łzy polały się po twarzy.

Tu mógłby mnie kto zapytać: A gdzież się podziała jego nadzieja, co mówię? *pewność*, co się tyczy najbliższej przyszłości Oratoryum, o którem tyle był opowiadał? Czyli ta go opuściła w owej ciężkiej chwili?

Na to odpowiadam: zdaniem mojem, Wszechmogący Bóg, który w tym właśnie dniu miał Oratoryum zesłać szczególniejszą, nigdy niezapomnianą łaskę, a to dając mu nareszcie w darze tak dawno upragnione, stałe już i spokojne miejsce, gdzie się mogło rozwijać, raczył dopuścić, aby owego wieczora założyciel tegoż odczuł cały ciężar opuszczenia, tak iżby nim został niejako przygnieciony, na to, ażeby łaska, która tuż miała nastąpić, stała się tem widoczniejszą, była mu tem milszą i stanowiła niejako nagrodę za ciężkie doświadczenie: jest bowiem właściwem Boskiej Opatrzności udzielać łask i dobrodziejstw wzamian za wielkie ofiary. Dodać jeszcze należy, że w chwili owego ciężkiego przejścia X. Bosko bynajmniej nie utracił ufności w Opatrzność Boską, że więc słusznie można doń zastosować to, co św. Paweł pisze o patryarsze Abrahamie: *Contra spem in spem credidit, ut fieret pater multarum gentium, secundum quod dictum est ei = przeciw nadziei w nadzieję uwierzył, że miał zostać ojcem wielu narodów, podług tego, co mu było rzeczono* [1]).

Niektórzy chłopcy, którzy wówczas stali niedaleko, słyszeli wyraźnie, jak wznosząc oczy, łez pełne, do nieba, wołał: „*Boże mój, Boże, czemuż mi nie ujawnisz miejsca, na którem chcesz, bym zgromadzał tę młodzież? Daj mi je poznać, lub też wskaż miłościwie, co mam dalej czynić!*" Była to wprawdzie modlitwa, pełna boleści, ale zarazem i nadziei, a Bóg dobroci, Ojciec sierot, nie ociągał się z przyjęciem tych łez i wysłuchaniem modłów, z iście dziecinną zanoszonych ufnością.

Zaledwie X. Bosko wyrzekł powyższe słowa i otarł łzy z oczu, wszedł na łąkę niejaki Pankracy Soave. Poczciwy ten człowieczyna (nb. jąkający się tak, że chcąc mu prędzej i łatwiej wydobyć słowa z gardła, potrzebaby do tego użyć — jak Włosi mówią — „*kleszczy Nikodema*“), przystąpiwszy bliżej X. Bosko, zapytał go:

—„Czy to prawda, że Jegomość szuka miejsca na *laboratoryum*?“

—„Nie na *laboratoryum*, lecz na Oratoryum,“ odpowiedział X. Bosko.

—„Nie wiem,“ ciągnął dalej Pankracy,

[1]) Rzym. IV, 18.



Kościół salesyański ŚW. JANA EWANGELISTY w Turynie.

„czy to wszystko jedno: *laboratoryum* lub *oratoryum*, ale to wiem, że księdzu Dobrodziejowi chodzi o jakieś pomieszczenie. Mam coś dla Jegomości, coby mu się bardzo przydać mogło, niech tylko pójdzie i zobaczy. Jestto własność mojego kumotra Józefa PINARDI'ego, zacnego bardzo człowieka. Niech Jegomość będzie łaskaw pójść ze mną, a ręczę, że zrobi świetny interes.“

Niespodziewana ta propozycya była dla naszego księdza BOSKO jakby promykiem światła, który się przebił przez ciemne chmury i oświecił mu widnokrąg.

W tej właśnie chwili nadszedł wierny jego przyjaciel, X. Piotr MERLA, założyciel instytutu pod nazwą *Rodziny św.* *Piotra*, mającego na celu zapobiegać opuszczeniu, w jakiem się nieraz znajduje tyle biednych dziewcząt, którym z różnych przyczyn niepodobnem jest znaleść chlebo- lub pracodawcy [1]).

Kolega księdza BOSKO z czasu pobytu w seminaryum, widząc, ile tenże już dobrego zdziałał na polu, nie całkiem odmiennem od tego, jakie on uprawiał i które mu tak bardzo leżało na sercu, ile razy tylko w niedziele i święta znalazł chwilę wolnego czasu, chętnie spieszył mu w pomoc, wspierając go przy wykładzie katechizmu, prawieniu nauk, słuchaniu spowiedzi i t. p.

—„Co ci jest?“ spytał przyjaciela, zaledwie nań rzucił wzrokiem. „Nigdy jeszcze nie widziałem cię tak smutnym. Czy cię spotkało jakie nieszczęście?“

—„Nieszczęście nie, lecz ciężkie udręczenie. Dzisiaj oto ostatni dzień, w którym mi wolno jeszcze przebywać na tej łące; wieczór się już zbliża, mam właśnie oznajmić moim chłopcom, gdzie się mają zebrać na przyszłą niedzielę, a tego ja sam dotąd nie wiem. Ten oto człowiek powiada mi, że w pobliżu jest coś do wynajęcia, coby się nadawało na Oratoryum i zaprasza mnie, bym to poszedł z nim obaczyć. Przybyłeś więc w sam raz. Zastąp mnie z łaski swojej przy chłopcach, a ja tymczasem pójdę, obejrzę, co tam jest, i wrócę natychmiast.“

—„Jestem całkiem na twoje usługi,“ rzekł na to X. MERLA, „idź i odrób wszystko, jak będziesz mógł najlepiej.“

X. BOSKO pospieszył z Pankracym na wskazane miejsce. Przybywszy tam, znalazł dość lichy budynek o jednem piętrze, na które prowadziły schody z robaczywego drzewa; z przodu opasany był balkonem, stał zaś na otwartem miejscu, w otoczeniu ogrodów warzywnych, łąki i pola.

X. BOSKO chciał już wchodzić na schody, lecz powstrzymali go Pankracy z PINARDI'm.

—„To nie tu,“ rzekli mu, „miejsce, przeznaczone dla księdza Dobrodzieja, znajduje się poza domem,“ i zaprowadzili go tam zaraz.

Była to dość długa szopa, o dachu pochyłym, lub powiedzmy raczej: spadzistym, do tego stopnia, że po jednej stronie miała najwyżej półtora łokcia wysokości. Dach ten był tak niski, że w niektórych miejscach nie można się było w szopie wyprostować i X. BOSKO, wszedłszy do niej, musiał się mieć dobrze na baczności, by gdzie o belkę głową nie zawadzić. Za posadzkę służyła ziemia, a gdy padał deszcz, naleciało tam nieraz wody tylo, że można było śmiało po niej jeździć łódką. Cała ta szopa mogła co najwięcej służyć za skład drzewa, w tym czasie zaś była schroniskiem dla myszy, szczurów i kun, jak niemniej gniazdem dla sów i nietoperzy.

—„Trochę za niska ta szopa,“ powiedział X. BOSKO do właściciela, obejrzawszy ją dokładnie. „Moi chłopcy, choć mali, nie pomieszczą się w niej.“

—„Czy tylko o to chodzi?“ rzekł Pinardi, „na to zaraz znajdziemy radę. Każę ziemię wewnątrz szopy skopać tak głęboko, jak ksiądz Dobrodziej będzie sobie życzył, dam nową podłogę, wstawię schódki, słowem poczynię wszystko, co tylko Ksiądz zapragnie, życzę sobie bowiem mocno, abyś ksiądz Do-

---

[1]) Zakład ten istnieje dotychczas, pocieszające przynosząc owoce. Rok rocznie wychodzi zeń wiele dziewcząt, pojednanych z rodziną, jak również społeczeństwem, jako dobre chrześcijanki i przykładne obywatelki, zdolne do zarobienia sobie pracą własnych rąk na skromne utrzymanie.

Dobroczynny ten zakład stara się przedewszystkiem wyszukać opuszczającym go wychowanicom, które w czasie pobytu w zakładzie odznaczały się wzorowem prowadzeniem, uczciwe jakie zajęcie. Jakkolwiek dzisiaj przyjmuje się doń w pierwszej linii takie dziewczęta, które co dopiero opuściły domy kary, to jednak znajdują tam również przytułek takie, którym grozi w świecie niebezpieczeństwo, z których to dziewcząt niejedna pozostaje w zakładzie na całe życie, lub poświęca się Bogu na służbę doskonalszą, wstępując do zakonu Sióstr t.z. *Addolorate* (= Matki Boskiej Bolesnej).

Cały zakład *Rodziny św. Piotra* stoi obecnie pod zarządem SS. Wincentynek, założonych przez Wielebnego Sługę Bożego, X. kanonika Cottolengo. Pomni, iż obu ich założycieli ścisła za życia łączyła przyjaźń, wspierają się dwa te zakłady (*Rodziny św. Piotra* i *Oratoryum*) nawzajem: zakonnice wraz z wychowannicami pracują dla chłopców i misyonarzy księdza BOSKO, Salezyanie zaś, otaczając ich opieką duchowną.

brodziej założył tu, a nie gdzieindziej, swoje *laboratoryum.*“

—„Nie *laboratoryum*, kochanku, lecz Oratoryum, to jest *kaplicę świąteczną*, — miejsce, gdziebym mógł w niedziele i święta zbierać młodzież na modlitwę i zabawy.“

—„Czy tak? W takim razie tem chętniej wezmę się do dzieła. Proszę uważać, że ze mnie wcale niezły śpiewak i z chęcią ofiaruję Księdzu pomoc swoją przy odprawianiu nabożeństwa. Przyniosę też dwa krzesła: jedno dla siebie, a drugie dla mojej żony. Prócz tego mam w domu piękną lampę, pożyczę jej z chęcią do kaplicy i zawieszę ją tu dla ozdoby. Ależ wszystko składa się wybornie. No patrzcie, Oratoryum.“

Poczciwy człeczyna nie posiadał się z radości, że we własnym domu będzie miał kościołek, a pragnienie jego, by czem prędzej zawrzeć ugodę, równać się chyba tylko mogło takiemuż samemu pragnieniu księdza Bosko.

Było to iście zrządzenie Boskiej Opatrzności.

—„Dziękuję wam,“ rzekł X. Bosko, „za waszą dobrą wolę i okazane chęci. Jeżeli możecie skopać ziemię i zniżyć posadzkę przynajmniej o łokieć, w takim razie gotów jestem szopę tę wynająć.“

—„Ależ owszem; już ja to biorę na siebie.“

—„Wykończycie do przyszłej niedzieli?“

—„Wykończę.“

—„A ile żądacie rocznej dzierżawy?“

—„Trzysta lir (= franków). Chcą mi wprawdzie inni dawać więcej (wie Ksiądz), ale ja przekładam Jegomości, ponieważ, jak widzę, zamiarem jego jest, przeznaczyć to miejsce na cele religijne i dla dobra publicznego.“

—„Dam wam 320, jeżeli prócz tego oddacie mi do użytku plac około szopy na zabawy dla moich chłopców i zaręczycie mi, że na przyszłą niedzielę będę tu już mógł ich wprowadzić.“

—„Zgoda, kontrakt zawarty, niech ksiądz Dobrodziej przyjdzie śmiało w przyszłą niedzielę: wszystko znajdzie gotowe.“

X. Bosko nie pytał o więcej, lecz z sercem, wdzięczności pełnem dla Boskiej Opatrzności, powrócił do chłopców na łąkę, zgromadził ich około siebie i zawołał donośnym głosem:

—„Cieszcie się, moje dziatki, cieszcie się i dziękujcie Panu Bogu! Znaleźliśmy nareszcie Oratoryum! Będziemy mieli własny kościołek, izby szkolne, jak również dziedziniec na gry i zabawy. W niedzielę, w przyszłą niedzielę już tam pójdziemy. Patrzcie! to tam, w domu Pinardi'ego!“

Mówiąc to, wskazał im rzeczony budynek, który, ile że niedaleko stąd położony, doskonale można było widzieć z łąki.

„*Skoro śmy usłyszeli tę nowinę,*“ tak mnie zapewniało kilku z żyjących jeszcze dziś świadków sceny, którą opisuję, „*niepodobna było nas dłużej utrzymać na miejscu. W mig rozsypaliśmy się po łące, jedni biegając, drudzy wyskakując, inni tańcząc; ci przewracali koziołki, tamci wyrzucali czapki w górę, jeszcze inni krzyczeli w niebogłosy, — słowem, zdawało się, że świat się przewraca do góry nogami. Ludzie, znajdujący się w pobliżu, przybiegali do nas wystraszeni, dopytując się, co tam takiego zaszło:* X. Merla *się śmiał,* X. Bosko *płakał z radości. Była to chwila powszechnego wzruszenia, albo raczej nieopisanego zapału, któremu ulegli wszyscy bez wyjątku uczestnicy Oratoryum, a który każdy na swój sposób objawiał, — scena, godna, by ją przekazać potomności.*“

Tak więc przez dobroć Wszechmocnego Boga, a za wstawieniem się Niepokalanej Dziewicy, jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej, niedawny gorzki smutek zamienił się w słodką radość.

Po tym ogólnym wybuchu radości X. Bosko nakazał milczenie, a zwróciwszy się do chłopców z krótką przemową, zastosowaną do okoliczności, wskazał na skuteczny, w oczy bijący wynik dzisiajszej porannej pielgrzymki do Madonna di Campagna, w końcu zaś wezwał ich, by uklęknąwszy odmówili na podziękowanie Rożaniec.

Była to modlitwa dziękczynna na cześć niebieskiej Opiekunki i Matki najmiłościwszej, która w tym, na zawsze pamiętnym dniu, tak łaskawie raczyła modły ich wysłuchać.

Odmówiwszy Rożaniec pożegnali chłopcy po raz ostatni łąkę, którą dotychczas tylko z musu i potrzeby miłowali, opuszczali ją zaś bez żalu, przeświadczeni, że teraz znaleźli już miejsce na *kaplicę świąteczną* i bardziej się nadające i bezpieczniejsze.

Słońce zapadło już za szczyty Alp, kiedy chłopcy, pożegnawszy księdza Bosko i wzniósłszy na jego cześć okrzyk, udali się do domów, by tam opowiadać, co zaszło na łące owego szczęsnego popołudnia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Leszek Wiśniowski, Pomocnik salezyański, dziękuje Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za odebraną wielką łaskę, — wybawienia z wielkich trudności.

* * *

Euer Hochwürden! Bedankend der Heiligen Mutter für Ihre hilfe und Ihnen für die erbethene Andacht übersende für Salesianisch Zwecke 5 fl.: Ich bnachrichtige das der Fabriksbrunnen für den ich vor eingen Wochen um die Andacht der Hilfe Heiligen Mutter Gottes Sie gebeten habe ist heute fertig und die Hilfe war staunend da der alte verunglückte Brunen 26 ½ metr gebohrt, der neue blos 13 ½ meter t ef gebohrt ist ich bin gekommen auf den Stein und habe genug Wasser — somit ist meine Spiritus fabrik gerettet —

Mit aller Hochachttung und Dank
Euer Hochwürden ergebener Diner
v. Komarnicki.

Jarosławice (Galizien).

* * *

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najśw. Marya Panna, Wspomożenie Wiernych! — W czerwcu bieżącego roku zapadłem ja i moja żona, wraz z trojgiem dzieci, na tak ciężką chorobę, że z boleści prawie odchodziłem od zmysłów. W tem strasznem położeniu zwróciłem się, nieszczęśliwy mąż i ojciec, z całą ufnością do Najśw. Wspomożycielki. Posłałem XX. Salezyanom do Turynu ofiarę z prośbą o nowennę i Mszę św. na moją intencyą. I oto w przeciągu tygodnia cała moja rodzina wyzdrowiała: ja mógłem znowu pracować, moja żona wziąć się do zajęć domowych, a dzieci chowają się zdrowo, — owszem, czujemy się wszyscy o wiele silniejszymi, aniżeli byliśmy przed chorobą. Najświętsza Wspomożycielka Wiernych dopomogła nam w cudowny sposób.

Oby wszyscy za moim przykładem uciekali się w potrzebach swoich do Najśw. Wspomożycielki! Niech Jej zawsze będzie cześć i chwała od wszystkich stworzeń na świecie! Racz nas i nadal mieć w Swojej św. Opiece, Najświętsza Matko Wspomożycielko!

Wincenty Olsza, górnik, wraz
z żoną Franciszką.

Bytom (Górny Śląsk).

* * *

„Dignare, me laudare te, Virgo sacrata!“ Pozwól mi chwalić Cię, Panno święta! — Całem sercem wyrażam gorące podziękowanie Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za wysłuchanie mych modłów, które podczas nowenny wraz z towarzyszami do Niej zanosiłem o wyzdrowienie z choroby, która mnie prawie przez pięć miesięcy do nauk i wszelkiego zajęcia nietylko czyniła niezdolnym, ale coraz to większą górę nademną brała, tak iż bez osobliwej pomocy z nieba o wyzdrowieniu nawet mowy być nie mogło.

Udając się do tej Wszechmocnej (że się tak wyrażę) Wspomożycielki Wiernych, ślubowałem Jej, że w ostatnim dniu nowenny przyjmę u stóp Jej, przed cudownym obrazem w kościele *Maria SS. Ausiliatrice* w Oratoryum, Komunią św. i publicznie, w **„Wiadomościach salezyańskich,“** łaskę otrzymaną ogłoszę.

Prośba została wysłuchana.

Wywięzując się więc z wdzięcznem sercem z obietnicy, ponawiam na tem miejscu serdeczne dzięki wielkiej naszej Opiekunce, która zawsze pospiesza z pomocą tym, którzy z wiarą i ufnością w jakichkolwiek dolegliwościach lub utrapieniach, bądź co do duszy, bądź co do ciała, do Niej się uciekają.

Dziękuję również serdecznie mym towarzyszom i wszystkim tym osobom, których modlitwom się byłem polecił.

Proszę Cię zatem, czcigodny Ojcze i Dobrodzieju, któryś mi już i tak wiele dobrego dotychczas był wyświadczył, abyś to moje skromne podziękowanie w **„Wiadomościach salezyańskich“** umieścił.

Valsalice pod Turynem.

Kl. Teodor Kurpisz.

* * *

Skutek nowenny. — Matka dwóch bogobojnych dziewcząt z mojej wioski rozchorowała się niedawno temu bardzo ciężko. Le

karz dochodził do niej wprawdzie dosyć często, lecz najtroskliwsze jego zabiegi na nic się nie zdały, gdyż żadnego z lekarstw, przezeń zapisywanych, nie przyjmował osłabiony chorej żołądek. Wtedy zwątpienie ogarnęło ją samą i najbliższych członków rodziny. Wyjątek stanowiły obydwie córki, które nie najdując dla chorej matki pomocy u ludzi, postanowiły poszukać jej w Niebie.

Rozpoczęły odmawiać nowennę do Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, i uczyniły ślub, że jeżeli ciężko chora matka wyzdrowieje, poślą na zakłady salezyańskie do Turynu 50 marek. I o dziwo! Zaledwie ukończyły nowennę, matka odzyskała całkowicie zdrowie.

Któż tu nie uzna potęgi niebieskiej Lekarki, tak zawsze skorej do wysłuchania próśb i tak gotowej do wspomagania tych chrześcijan, którzy z ufnością i żywą wiarą pomocy Jej błagają, a to pod słodkiem wezwaniem Wspomożycielki Wiernych?

Huta Wilhelminy (Górny Śląsk).

Alojzy Białas.

***

„Respice stellam, voca Mariam!" — Z wielkim smutkiem opuściłem w sierpniu b. r. drogie kolegium we Valsalice, udając się dla poratowania zdrowia na jakiś czas w strony rodzinne, gdy oto w czasie podróży spotkało mnie nieszczęście. Zaledwie bowiem przybyłem do Udine i tam na stacyi wymieniałem pieniądze, dostałem naraz silnego wybuchu krwi. Napróżno wzięto mnie pod pompę i wodą mnie całego oblewano: wszystkie zabiegi były bezskuteczne. Na domiar złego trzeba było czem prędzej wsiadać do wagonu; inaczej musiałbym w nieznanem mi całkiem mieście zatrzymać się niewiedzieć jak długo.

Krwi wyszła tymczasem ze mnie taka ilość, że trzy chusteczki były jej pełne, a słabość mnie taka ogarnęła, że aż zimny pot na mnie wystąpił. I cóż ja nieborak miałem począć? mówić już nie mogłem, a myślałem naprawdę, że mi przyjdzie umrzeć w ciągu tej podróży. Co mnie najwięcej smuciło, było, że musiałem podróż odbywać w obcym kraju i że nie miałem w pobliżu kapłana.

Po utracie tyle krwi, która ze mnie szła przez półtorej godziny, gdyby mnie ksiądz Dobrodziej był widział, w jakim stanie się znajdowałem! Kiedym jednak przyszedł na chwilę do przytomności, nasunęła mi się szczęśliwa myśl, żeby w tem ciężkiem położeniu wezwać Opieki Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. Skorom to uczynił i ze skruchą i nabożeństwem po 3 razy te słowa powtórzył: *Najświętsza Maryo Panno, Wspomożenie Wiernych, módl się za mną!* wtenczas od razu krew przestała uchodzić, a równocześnie ustało osłabienie i niemoc, o której sądziłem, że z jej powodu przyszła już na mnie ostatnia godzina.

I tak odzyskałem oto siły i mogłem dalszą podróż odbyć szczęśliwie jedynie za przyczyną Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki. Składając Jej za to całem sercem publiczne podziękowanie, proszę zarazem W^go^ X. Redaktora, ażeby doznaną tę łaskę w **„Wiadomościach salezyańskich"** ogłosić raczył.

Radoszów (Górny Śląsk).

Józef Żydek.

***

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najśw. Marya Panna, Wspomożenie Wiernych! — Zasyłam Szan. Zgromadzeniu salezyańskiemu serdeczne podziękowanie za wszystkie starania, a zwłaszcza za modlitwy, ażeby się oczy moje zgoiły. Kiedym to ich pismo otrzymał, uwiadamiające mnie, że rozpoczęli w Turynie przed cudownym obrazem Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, odprawiać za mnie nowennę, tak mi zaraz łzy z oczu popłynęły. Odprawiałem ją razem z nimi i odmawiałem przepisane (tj. przez Ojca naszego, X. Bosko, polecone) modlitwy i wezwania, i tak mi się od razu polepszyło, tylko mam jeszcze jedno oko nieco czerwone. Na podziękowanie Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce posyłam na cele Zgromadzenia 12 franków.

Rudy Piekar (Górny Śląsk).

Leopold Sadłoń.

***

Za otrzymane łaski dziękują dalej Najświętszej Wspomożycielce:

Anna Saternus z Katowic (Górny Śląsk);

Piotr Bartosik, student z Bytomia (Górny Śląsk);

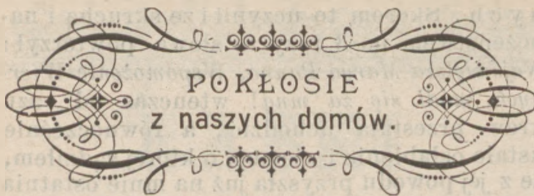
p. Noculń z Królewskiej Huty (Górny Śląsk);

Filip Dybala z Rozwadze (Górny Śląsk);

Józef Jelito, zwrotniczy z Gliwic (Górny Śląsk);

Franciszek Strzewiczek, Rozbark (Górny Śląsk);

Jadwiga Deszyk, Wielkie Strzelce (Górny Śląsk).



I.

Piova (prov. di Torino).

Wakacyi zwykliśmy w kolegium valsalickiem oczekiwać z utęsknieniem. Nietylko z powodu, iż pod koniec roku szkolnego upały letnie dają się nam mocno we znaki, tutaj zaś w Piowie, u podnóża Alp graickich, gdzie co rok feryc przepędzamy, górskiem, orzeźwiającem odetchnąć możemy powietrzem; nietylko dla częstych wycieczek, jakie sobie do różnych, mniej lub więcej przystępnych, więcej lub mniej dzikich i romantycznych dolin, urwisk i t. p. górskich miejscowości, nieraz urządzamy; nie dlatego, ponieważ często danem nam jest — za czem młodzi tyle przepadamy — wspinać się na szczyty Alp, skąd widok tak zachwycający na rozległą, do stóp gór przypadłą, żyzną równinę starożytnej Gallia cisalpina, jasną Padu przepołowioną smugą, skąd wzrok sięga aż do Nowary, dokąd r. 1849 mężny CHRZANOWSKI *powiódł był piemonckie pułki przeciw Austryakom, — ale także z przyczyny, iż w czasie wakacyi mamy sposobność poznać różnych salezyańskich misyonarzy, przybywających właśnie wtenczas do Turynu ze wszystkich świata stron po to, aby pokrzepiwszy ducha u stóp Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki w Jej świątyni na Valdocco, pomodliwszy się we Valsalice przy grobie księdza* BOSKO *i otrzymawszy błogosławieństwo księdza* RUA, *zabrać ze sobą świeże posiłki w postaci kilku, czasami nawet (jeżeli środki materyalne na to pozwalają) kilkunastu księży, kleryków, koadjutorów i Sióstr Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, i ruszyć z powrotem w dalekie strony, gdzie żniwo bardziej, aniżeli u nas, jest obfitem, a robotników nieskończenie mniej, lub zgoła niema.*

Misyonarze ci, w czasie krótkiego między nami pobytu, opowiadają nam z prostotą prawdziwie ewangeliczną i z całą otwartością o krajach i ludach, wśród których pracują, opisują sposób ich życia, różne przygody, jakich życie ich bywa pełnem, niebezpieczeństwa, z których jedynie z pomocą Bożą i za wyraźnem wstawieniem się Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki uszli cało i t. p.

Tego roku jeden z nich przybył z Palestyny, a to co nam był opowiedział na jednej ze swych konferencyi, pozwoliłem sobie tutaj streścić w tem przekonaniu, że dla niejednego z **Pomocników** *naszych nader miłą będzie rzeczą, usłyszeć coś o domach salezyańskich w Ziemi świętej.*

Za łaską Bożą założyliśmy już w Palestynie domów cztery: w Betleem, w Nazaret, w Beitgemal i w Cremisan.

Najstarszy nasz dom, założony w Ziemi świętej, jest betleemski; jest on zarazem największym ze wszystkich czterech powyższych zakładów, a mieści w sobie *schronisko* dla sierot, różne warsztaty rękodzielnicze i szkoły dla studentów.

Dom w Nazarecie zaś jest najmłodszy z nich wszystkich, niedawno dopiero założony. Leży na pagórku, z daleka wygląda jak forteca, górując nad całą mieściną. Mamy tam już przeszło 30 chłopców, którzy pragną wstąpić do naszego Zgromadzenia. Tu podobnie, jak w Betleem, są warsztaty, szkoły, *kaplica świąteczna*, oraz *schronisko* dla sierot.

Trzeci dom mamy w Cremisan, a składa się z obszernej osady rolniczej.

Również czwarty dom, w Beitgemal, jest takąż osadą. Chcąc dotrzeć do granicy naszej własności, trzebaby na to co najmniej 3 godzin czasu, i to jadąc konno. Własność ta, co do swej topografii, jest wcale piękna: składają się na nią pagórki, różne zwaliska, ślady dawnych osad, to znowu doliny, przecinane strumykami (latem wyschłymi); czego tam jednak brak wielki, to lasów, a przynajmniej gajów. Tych w osadzie naszej dotychczas nie mamy.

Osadnicy nasi raz w tem, to znowu w owem pracują miejscu, jedna gromadka oddalona od drugiej około 2, a nawet 3 godzin jazdy. Oczywiście od czasu do czasu trzeba do nich zaglądać, czy i jak pracują, naznaczyć, gdzie mają pracować i t. p. W tym celu zwykle co rano i wieczór jeżdżę do nich konno, przejażdżkę tę wszakże muszę odbywać z innych jeszcze powodów, o czem kiedy indziej będzie mowa.

Osada nasza jest wcale zasobna w zwierzęta domowe: mamy tam przeszło 100 wieprzów, 300 królików, mnóstwo kóz, owiec, wołów i krów.

Najtrudniej przyszło nam pola drzewami zasadzić. Cierpiąc wielki ich niedostatek, wygląda Palestyna, jak gdyby naga. Gdzież są owe piękne drzewa: wysokie cedry (choćby tylko na Libanie), cyprysy cicho stojące, platany, gdzież piękne gaje, śmiejące się łąki, pełne lilii polnych, o których tyle razy mowa w Piśmie św.? Wszystko to znikło z powierzchni ziemi, drzewa powycinano, nie darowano nawet ich korzeniom: dziś jeszcze wykopują Arabowie, gdzie mogą, ich resztki, robią z nich wiązki i sprzedają za drogie (stosunkowo) pieniądze. Cały kraj stał się jakby pustynią, wszystka jego krasa zmarniała, źródła jego wyschły. Słońce, siekąc ognistymi promieniami ogołoconą z drzew i roślinności ziemię, rozpala ją nadmiernie, rozpala również powietrze, zniedołężnia naród do pracy, i tak z biegiem czasu kraj, którego rzeki i strumienie w starożytności *„mlekiem i miodem płynęły,“* zubożał zupełnie.

Chcąc na naszem polu drzewa sadzić, zwłaszcza owocowe, musieliśmy oczywiście wpierw hodować sadzonki, lub też takowe kupić. Są w ogólności drogie: od sztuki płaciliśmy nieraz 3 franki.

Pan Bóg widocznie błogosławi naszej pracy: drzewa owocowe np., nieocenionej w krajach południowych wartości, przynoszą nam coraz piękniejsze owoce i uszlachetniają się coraz więcej.

Mamy także w naszej kolonii młyn parowy, o sile 8 koni, który miele zboże nietylko na nasze potrzeby, lecz także dla Arabów, co w pobliskich mieszkają wioskach; z tego powodu biednym mieszkańcom wielką wygodę i pożytek przynosimy. A jużto zboże rośnie na naszych polach piękne i wysokie, czemu się Arabowie nadziwić nie mogą.

Pola arabskie, zbożem zasiane, bardzo licho wyglądają. Oto, jak rolnik tamtejszych stron sieje.

Na wiosnę, zamiast pole wprzódy zorać (jak to się u nas dzieje), to nie chce mu się tyle trudu ponosić: woli zaraz siać wprost w ziemię, nie uprawiwszy jej poprzednio; następnie przejedzie bronami kilka razy wzdłuż i wszerz po polu, żeby przynajmniej ziarno pokryć nieco ziemią, aby go ptaki doszczętnie nie wydzióbały, — i oto cała uprawa. Zrobiwszy to, już się więcej o pole nie stara. O wypeleniu chwastu, kąkolu i t. p. niema wcale mowy. Zaczem idzie, że nie bardzo obfite plony zbiera ze swego zasiewu, lecz mimo to, zwłaszcza iż ziemia jest ogółem wziąwszy dosyć urodzajna, ma stosunkowo dosyć piękne żniwo, a tak co leniwy, lub tylko niedołężny, Arab nie zdziała, to ziemia-matka dokaże za niego.

Co się nas tyczy, — objąwszy w posiadanie rozległe te pastwiska i obszary pola, które w bardzo nędznym znajdowały się stanie, poczęliśmy je uprawiać w sposób racyonalny, to też nie dziw, że stokrotne z naszych łanów zbieramy owoce.

Z sąsiadami, tak biednymi jak i bogatszymi, poznajomiliśmy się już dosyć dobrze. W ogólności mogę powiedzieć, że są na nas łaskawi, a bogatsi bardzo często zapraszają nas do siebie.

Tak np. bogaty pewien Turek zapraszał mnie już razy kilka na obiad, a jestto największy zaszczyt, jaki na Wschodzie może *giaura* (chrześcijanina) spotkać ze strony prawowiernego wyznawcy Mahometa. Za pierwszym razem poszedłem tam więcej z ciekawości, później już tylko z grzeczności.

W niewielkiej stosunkowo sali zasiedliśmy na rozłożonym dywanie „*w kuczki*,“ czyli podłożywszy nogi pod siebie, w pięć osób (a byli to sami mężczyźni) naokoło niskiego, najwyżej pół metra wysokiego stołu. Nie wyobrażajcie sobie, że był zastawiony talerzami, szklankami, flaszkami, sztućcami (tj. nożami i widelcami), ani że tam stała jaka solniczka, lub choćby tylko karafka z wodą, słowem, wszystko to, co zazwyczaj zapełnia stół biesiadny w domach europejskich. Otóż nie było tam nic z tego: była to *tabula rasa* (goły stół) w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Co najwyżej, leży czasem mała łyżeczka przed każdym gościem do nabierania sosu. Noże i widelce są według muzułmańskich zapatrywań zbytkiem, kiedy Pan Bóg dał człowiekowi palce i paznogcie. Te też istotnie służą im za widelec i nóż, tak jak naszym przodkom jeszcze w wieku XVI.

Jedliśmy wszyscy ze wspólnej misy, pełnej pieczonego mięsiwa. Odebrał ją z rąk służącego samże gospodarz i poważnie złożył na stole. Następnie włożył obie ręce do misy, brał z niej kawał po kawale i rozdzierał palcami na tyle części, ilu biesiadników siedziało naokoło stołu, podając każdemu osobny kęs na miseczkę. Oto jak się bez ceremonii, z iście patryarchalną prostotą obiaduje na Wschodzie. Tu jednak muszę jeszcze dodać, że przy tej operacyi ręce miał czyste i że wogóle wpierw, zanim wszyscy zasiędą do stołu, umywają sobie czysto ręce i powtarzają mycie tyle razy, ile dań przyniesiono na stół.

Wspólna ta misa na stole przypomniała mi ową chwilę z Ostatniej Wieczerzy, kiedy Pan nasz i Zbawiciel, który niezawodnie w taki sam sposób (tj. ze wspólnej misy) wieczerzał wraz z swymi uczniami, rzekł im: *qui intingit mecum manum in paropside, hic me tradet* = *który macza zemną rękę w misie, ten mnie wyda* (MAT. XXVI, 23).

Jako przyprawę do tych kawałków pieczeni otrzymaliśmy po skibie chleba, który się od czasu do czasu przygryza, trzymając go w lewej ręce. Kto już syty, albo poprostu ma już dosyć owego mięsa, podawanego sobie w sposób, jak powyżej, przez usłużnego gospodarza, ten zamiast długich i ckliwych wypraszań się (jak to się często u nas dzieje) macza chleb w misie, czem uwalnia się od otrzymywania dalszych porcyi i okazuje, że jest dobrze wychowanym.

Jest zaś oznaką ujmującej grzeczności i dowodem wielkiej przychylności dla którego ze współbiesiadników, jeśli się z misy wyciągnie smaczny jaki kąsek, napocznie go zębami i ofiaruje go osobie, którą się chce uczcić, lub swoją przyjaźń okazać.

Zwyczaj ten znowu mi przypomniał ową scenę z Ostatniej Wieczerzy, kiedy Chrystus Pan, zapytany przez św. Jana, ktoby był zdrajcą, który go miał wydać, odpowiedział: *Ille est, cui ego intinctum panem porrexero. Et cum intinxisset panem, dedit Judae Simonis Iscariotae* = *On jest, któremu ja umoczony chleb podam. A umoczywszy chleb, dał Judaszowi Symona Iskaryoty* (JOAN. XIII, 26). Do ostatniej więc chwili Pan nasz i Zbawiciel okazywał zdrajcy Swą miłość bez granic, wyróżniając go pomiędzy wszystkimi uczniami.

Nawiasem dodam w tem miejscu, że setki miejsc Pisma św. stają się jasnemi i od razu zrozumiałemi, jeżeli się dłuższy czas pobędzie na Wschodzie i przyjrzy dokładnie sposobowi życia tamtejszych mieszkańców, przechowanemu wiernie, ze ścisłością i, rzekłbym, uporem, właściwym ludom wschodnim, jeszcze od czasów biblijnych.

Grzeczność, o której wspominałem powyżej, widzi się nieraz mianowicie pod koniec obiadu, kiedy się podaje *pilaf*, czyli ryż, ocukrzony i umaszczony masłem, albo innym jakim tłuszczem lub sokiem, tak iż się ciągnie jak lep. Zrobi się z ryżu palcami kulkę i wrzuca się osobie, której się chce swoją przyjaźń lub miłość okazać, do ust; nie chcieć zaś przyjąć podobnie sobie ofiarowanego daru, stanowiłoby największą obrazę.

Prócz mięsa i ryżu dają jeszcze na stół ciasta, zaprawione miodem, cytrynowym sokiem, czasem pieprzem i t. p. Na tem kończy się obiad.

Jak widzicie, jest skromny i patryarchalny w najwyższym stopniu i mogłoby sobie od tych pohańców brać wzór tylu a tylu chrześcijan

w Europie, *quorum Deus venter est* (= *których Bogiem jest brzuch*), nie trwa zaś dłużej nad kwadrans.

Wstawszy od stołu umywa się ręce w pachnącej wodzie i przechodzi do przyległej sali, gdzie podają kawę i długie fajki (*czibuk*). *Czibuk* pali każdy z osobna, istnieje jednakże inny jeszcze rodzaj fajek, t. z. *nargilleh*, z której pali kilku razem. Fajka taka jestto rodzaj karafki, napełnionej wodą, w której szyjce, w metalowem albo glinianem naczyńku, tli się tytoń; w szyjce tej utwierdzone są rurki z gumy elastycznej, zakończone munsztukiem z bursztynu lub morskiej piany. Pocieszny widok sprawiają muzułmanie, zwłaszcza kiedy palą *nargille*, rozkoszując się wonnym dymem, który przechodząc przez wodę karafki czyści się tam i odświeża.

Dawniej było u nich powszechnym zwyczajem nosić brody, nadawające im dużo powagi. Ozdoba ta ich twarzy była i jest dotąd jeszcze w najwyższem poważaniu i uchodzi za coś nietykalnego, prawie rzekłbym, świętego. Stąd zwyczaj muzułmanów przysięgać *na brodę Proroka* (Mahometa), stąd synowie, kiedy chcą uczcić swego rodzica, nie całują mu ręki, jak u nas, lecz całują jego brodę; podobnież żony swoim mężom. Za największą zaś obelgę uważa się, pochwycić ją i targać.

Nie dziwcie się zatem, że i my misyonarze, pracujący na Wschodzie, licząc się z zapatrywaniami muzułmańskiemi, zapuściliśmy brody.

Zaczyna się jednak wkradać zwyczaj, zamiast brody zapuszczać wąs zawiesisty, który często lubią motać i nim się bawić, skrapiając go na ucztach różnemi wonnościami, lub wykadzając żarzącemi się pachnidłami, które im się pod nos podstawia w srebrnem naczyńku.

Niewiasty nigdy nie jadają przy wspólnym stole, jeżeli tam są obcy mężczyzni, lecz osobno, a ukończywszy domowe zajęcia, siadają także one *w kuczki* i spędzają czas po większej części bezczynnie, paląc fajkę i popijając kawę.

Tyle, co się tyczy bogatych Turków i Arabów. Ubodzy Arabowie poważają nas głównie z tego względu, że chętnie dzielimy się tem, co posiadamy, z uboższymi od nas, bez różnicy wiary i narodowości. Zastanawia ich także, że widzą nas zawsze zajętych i pracujących. Biedni! nie wiedzą, że modlitwa a praca, człowieka zbogaca. Największą też potrzebą jest, nauczyć ich chodzić około roli, tj. uprawiać ziemię w sposób racyonalny, tak samo: hodować bydło, a wogóle wpoić w nich chęć do pracy. Turek, Arab, każdy prawowierny muzułmanin, nie ruszyliby ani palcem, gdyby ich do tego bieda nie zmusiła. Co do nas, będziemy się starać założyć więcej podobnych, jak w Cremisan i Beitgemal, osad rolniczych, ażeby ich do pracy zachęcić.

Opowiem wam teraz coś o naszych misyach pomiędzy mahometanami.

Ze wszystkich zwolenników wszelkich sekt i wyznań, jakie tylko istnieją na świecie Bożym, najtwardszymi, najuporczywszymi, prawie niepodobnymi do nawrócenia na wiarę katolicką, są zwolennicy *islamu*, wyznawcy Mahometa. Są oni tak przekonani o prawdzie swojej wiary, tak już przesiąkli swymi błędami, tak zagrzęźli w życiu zmysłowem i gnuśnem, że każdy prawowierny muzułmanin uważa za grzech śmiertelny, jeśliby choć na chwilę tylko śmiał powątpiewać o jakimkolwiek artykule swojej wiary, o Proroku i jego koranie.

Chciałem razu pewnego pracującego u nas Araba, dosyć dobrego zresztą człeka, doprowadzić przynajmniej do tego, ażeby zaczął porównywać wiarę chrześcijańską z *islamem*; wszcząłem więc z nim następującą o religii rozmowę:

—„Wierzysz ty w prawdziwość swojej wiary?“

—„Całem sercem i duszą,“ — odparł Arab.

—„A jabym ci jednak mógł udowodnić, że Mahomet był kłamcą i niegodziwym człowiekiem.“

Słysząc to, Arabowi aż włosy na głowie (tj. raczej kęs włosów na czubku głowy, czyli osełedec, gdyż reszta pałki jest wygoloną) stanęły, a zębami zaczął błyskać. Gdyby tak był inny, gotówby się był rzucić na mnie, by pomścić „bluźnierstwo,“ miotane na Proroka. Wysilając się na spokój, rzekł:

—„Ja wierzę tylko, że jest jeden Bóg, a Mahomet jego prorok.“

—„A skąd ty to wiesz?“

—„Z koranu.“

—„A koran kto napisał?“

—„Ze samego nieba spadł Mahometowi, a on nam go powierzył.“

—„A skąd ty to wiesz?“

—„Moi rodzice i cały nasz naród tak mówią.“

—„A rodzice skąd się dowiedzieli?“

—„Od swoich rodziców, a ci znów od swoich rodziców i t. d. Rodzice moi nie kłamią, tylko prawdę mówią, dowiedzieli się zaś o prawdziwości wiary naszej od swoich rodziców, którzy również nie kłamali, kiedy dzieci swoje w rzeczach wiary byli pouczali i t. d., a co mówię o mojej rodzinie, tak każda inna całego naszego narodu myśli.“

—„Ale jabym ci jednak mógł udowodnić, że jesteś w błędzie, ty i rodzice twoi wraz ze wszystkimi waszymi przodkami i że twój Prorok cię do nieba nie wprowadzi.“

Tu już Arab nie chciał dłużej prowadzić rozmowy, która mu nader była nieznośną. Rzekł tylko:

—„Dajmy pokój całej rozmowie. Mnie wątpić nie wolno o prawdziwości koranu. Mahomet zaparłby się mnie przy śmierci, uznał za niegodnego swego wyznawcę i nie wpuścił do raju. Bądź przeto tak dobry, Ojcze, i zaprzestań mnie się wypytywać o naszą religię, gdyż niewart jestem odpowiadać na wasze próżno pytania.“

I musiałem zmienić rozmowę, inaczej bowiem gotów był odejść odemnie.

A to nietylko on, lecz wszyscy bez wyjątku Arabowie myślą tak samo, jak ten nasz osadnik. Litość doprawdy bierze nad tym narodem. Był to prawdziwie piekielny środek Mahometa, to że dał swoim wyznawcom za jeden z pierwszych artykułów wiary, że kto tylko będzie powątpiewał o prawdziwości *islamu*, o Proroku i koranie, tem samem zgrzeszy ciężko, a grzech ten nigdy mu



Kolegium XX. Salezyanów w Betleem

nie będzie odpuszczony. Z tego powodu unikają muzułmanie rozpraw, tyczących się ich wiary, i wcale się nie odważą szukać prawdy (bo to już znaczyłoby powątpiewać o jej prawdziwości) i wierzą ślepo we wszystkie błędy, jakimi ich od wieków karmią.

Wierzą np. także, że po śmierci Mahomet ich do nieba wciągnie, żeby zaś miał za co ciągnąć, strzygą krótko, lub golą, włosy wysoko na głowie, a tylko na czubku zostawiają kęs dla wygody Proroka.

—„A kto Mahometa wciągnął do nieba,“ pytałem się raz pewnego Araba, „kiedy on nie nosił czuba na głowie, ani Bóg, będąc duchem, nie mógł go ciągnąć?“

—„Jego spotkał jeszcze większy zaszczyt,“ odpowiedział tamten, „bo pojechał na księżycu do nieba.“

Ślepa wiara w Proroka i jego koran, odziedziczona po przodkach, stanowi pierwszą, nieprzepartą trudność w nawracaniu wyznawców *islamu* do prawdziwej wiary.

Drugą jest *teroryzm* i gwałty, jakich się muzułmanie dopuszczają wobec tych, którzy opuścili zielony sztandar Proroka. Nie mogą sobie wyobrazić, ścierpieć nie mogą, żeby jaki muzułmanin mógł zostać chrześcijaninem. Sądzą, że za takie odstępstwo spadnie niechybnie straszna klęska na tę rodzinę, na tę wieś, której członek lub mieszkaniec opuścił Mahometa, a natomiast zwrócił się do ukrzyżowanego JEZUSA. A wtenczas biada nowonawróconemu!

Jeśli to jest młody chłopiec, to rodzice biją go okrutnie i wszelkimi sposobami zmuszają, żeby się wyparł Chrystusa. Jeżeli dziecko nie słucha rodziców i nie przystaje na ich namowy, w takim razie pastwią się nad niem i sieczą bez litości tak długo, aż skona pod razami. Inni rodzice, mniej okrutni, lubo równie fanatyczni, co poprzedni, wysyłają takie oporne dzieci do miasta Mekki, leżącego blisko morza Czerwonego w Arabii, gdzie, jak wiadomo, znajduje się grób Proroka. Zbudowano tam umyślnie więzienie dla takich, co się wyparli wiary Mahometa; tam zamykają dziecko na całe życie. W czyje go tam ręce oddano i co się z nim dzieje, jeżeli na nowo do błędów muzułmańskich nie wróci, to, sądzę, łatwo sobie można wyobrazić.

Jeśli nowonawrócony jest już w starszym wieku, to nie może się wcale pomiędzy mahometanami pokazać. Każdy bowiem przechodzień krzyczy za nim: „*przeklęty!*“, kto go spotka, pluje mu w twarz, lub przynajmniej pod stopy, dzieci rzucają za nim kamieniami lub błotem, nikt go pod dach nie przyjmie, wszyscy go mają za zbrodniarza, człowieka głupiego, przynoszącego każdej chacie, każdej wsi nieszczęście.

Niedawno temu pewien wioślarz przewoził przez *Jordan* pielgrzymów, udających się do Mekki. W ich liczbie znajdował się także pewien świeżo nawrócony muzułmanin, któremu w jakiejś pilnej sprawie wypadło stawić się w urzędzie w pobliskiem mieście. Przy wysiadaniu z łodzi został przez kogoś poznany. Jakie wrzaski wszczęły się z tego powodu! Ledwie uszedł z życiem. Łódź, zanieczyszczona jego obecnością, trzy razy wymyto, a zwłaszcza to miejsce, na którem stał. Wioślarz głośno modlił się i przepraszał Proroka za to, że mimo wiedzy i woli obcował z odstępcą.

Nie dziw więc, że tacy neochrześcijanie (rzadcy co prawda pomiędzy wyznawcami Mahometa, jak białe kruki) zmuszeni są po swem nawróceniu udawać się w takie strony, gdzie ich nikt nie zna i nikt o nich nie słyszał.

Tu zapytacie mnie: więc jak wy właściwie myślicie nawracać tych muzułmanów?

Otoż dzieło nawrócenia rozpoczynamy od dzieci, gdyż z dorosłymi nie warto nawet zaczynać rozpraw o religii. Dzieci te nie są to jednakże nasi wychowankowie, których rodzice muzułmańscy posyłają niekiedy do naszych szkół, nie są również synowie naszych robotników Arabów. Tych nie moglibyśmy ochrzcić. Biada dziecku, gdyby się o tem rodzice jego dowiedzieli: bez żadnej wątpliwości zostałoby zasieczone rózgami, lub wysłane do Mekki. Biada także nam, gdyż muzułmanie gotowiby się na nas zmówić, zburzyć nam dom i zmusić nas do ucieczki. Zaczynamy dzieło misyonarskie przedewszystkiem od sierot. Po wsiach i miasteczkach muzułmańskich dużo się napotyka chłopców i dziewcząt bez rodziców, tułających się z jednej miejscowości do drugiej. Biedactwo to jest zupełnie opuszczone: nikt się o nich nie troszczy. Do naszych domów przychodzą chętnie, gdyż wiedzą, że za każdym razem otrzymają jałmużnę. Większa ich część pozostaje u nas tak długo, dopóki się nie wyuczy jakiego rzemiosła. Takie właśnie sieroty przygarniamy w naszych *schroniskach*, zaprawiamy do pracy, wychowujemy i kształcimy wedle zasad naszej św. Wiary i udzielamy im Chrztu św. Sierotom tym nikt już szkodzić nie może; w domach naszych są bezpieczne.

Pracę, do której nas Pan Bóg stworzył, uważają muzułmanie wogóle za nieszczęście. Oni żyją tylko po to, żeby na ziemi było im dobrze i wygodnie, a potem w niebie z Mahometem jeszcze lepiej. Żyją w tem przekonaniu, że jako wybrana, uprzywilejowana część ludności wszechświata, stworzeni są jedynie dla zabaw i uciech; jeżeli zaś te którego z nich ominą, to winno temu „*przeznaczenie,*“ z którem się godzą, jak umieją. Pracują tylko wtenczas, kiedy ich bieda do tego naciśnie. Jeżeli zaś mają jakie takie dostatki i pracować nie potrzebują, wtenczas całemi godzinami siedzą *w kuczki* na dywanie, palą fajkę, popijają kawę i dumają.

O ile wszakże są leniwymi do pracy, o tyle chętniejszymi się okazują do modlitwy. Nie trzymają się zasady, że *modlitwa* i *praca*, *praca* i *modlitwa* — obie razem — uszczęśliwiają człowieka. Pamiętają tylko o modlitwie. *Koran* obowiązuje ich do modlitwy przynajmniej pięć razy na dzień; przed modlitwą powinni się myć, ponieważ jednak woda jest na Wschodzie żywiołem dość rzadkim i bardzo cennym, zatem nie dziw, że nie wszyscy prawowierni wyznawcy Proroka mogą sobie na ten zbytek pozwolić. Zaleca im także ich księga święta (koran) w modlitwach wyliczać prze-

dewszystkiem 100 imion (czyli raczej *określeń*) Pana Boga i 99 jego przymiotów, modląc się zaś, zwracać się zawsze twarzą ku wschodowi, ku *Kaabie* (małej, czworograniatej świątyni w Mekka *), w którem to mieście znajduje się grób twórcy religii muzułmańskiej.

Zabawne jest ich zachowanie się w czasie modlitwy. Biorą dość długą płachtę albo derkę (bogaci mają do tego dywany), a w braku tejże ściągają ze siebie płaszcz, i rozciągają ją na ziemi. Następnie siadają na niej, nogi podłożywszy pod siebie i rozpoczynają mruczeć modlitwy. Odmawiając je, przykładają obie ręce do twarzy, blisko uszu (w takisam prawie sposób, jak w wojskach europejskich podwładni salutują starszych, z tą tylko różnicą, że żołnierz czyni to jedną tylko ręką), zaraz potem kładą je na głowę, potem spuszczają na dół i dźwigają twarz w górę, wreszcie spuszczają ją na dół i kłaniają się aż do ziemi. Wybiwszy tak kilka pokłonów, kładą się na ziemię pokotem, właśnie na owej derce lub dywanie, adorując Proroka. Podczas tych pokłonów, przykładań, wkładań i składań rąk, dźwigania głowy w górę i spuszczania takowej na dół, odmawiają zazwyczaj następującą modlitwę, lub raczej wyznanie wiary:

la il la illo la
Muhamede rissillo la!

(*Nie, jeden tylko jest Bóg, a Muhamed jego prorok!*).

Formułkę tę klepią bez przestanku, wśród ciągłych pokłonów i kiwań się na wszystkie strony. Modlą się zaś tak i kiwają nawet w podróży (tak jak u nas żydzi); co oni sobie tam z tego robią, czy im się kto przygląda, — dość, że mogą rozmawiać z Prorokiem i spełnić swoją powinność.

Udając się gdzie konno w dłuższą podróż, spotykałem często pastuchów arabskich, modlących się na szczycie skał. Zdaleka wydawali się jakby jakie małpy, siedzące na skałach, kiwające się na wszystkie strony i wymachujące rękami w powietrzu. A jużto szczególniejszy mają zwyczaj ci *oryentalni* (mieszkańcy wschodu), że gdy się chcą modlić, szukają sobie wpierw jakiego wyniosłego miejsca. Jeżeli są w domu, w takim razie udają się na dach (który na Wschodzie zawsze jest płaski — nie spadzisty, jak u nas — i otoczony dokoła niskim murem, ażeby kto z niego przypadkiem nie zleciał) i tam wybijają dowoli i w spokoju swoje pokłony. Jeśli są poza domem, to ulubionem miejscem ich modlitw są szczyty pagórków, a w braku tychże skały lub wielkie kamienie.

Zwyczaj ten, czyliż nam nie przywodzi na myśl tylu miejsc z Pisma św., w których mowa o Panu i Zbawicielu naszym, o św. Apostołach i wielu innych mężach bogobojnych, udających się na góry lub na dach domu, aby się tam modlić?

*) Czyżby stąd pochodził wyraz „*oryentować się*“ (od słowa łacińskiego *oriens* = wschód), to znaczy pierwotnie: *zwracać się twarzą ku wschodowi*?

Na szczytach pagórków, na wyniosłych skałach budują również, tak samo jak w starożytności, swoje wioski i miasteczka. Gdzie tylko okiem rzucisz, bieleje w pobliżu lub oddali jakaś muzułmańska osada. Stąd dziś jeszcze sprawdzają się na Wschodzie słowa Chrystusa Pana: *non potest civitas abscondi, supra montem posita* = *nie może się miasto zakryć, na górze osadzone*. (MATTH. V, 14).

Swego Ałłaha i tegoż proroka, Mahometa, mają tak w pamięci, że gdy ze sobą rozmawiają, to w przestankach raz jeden, raz drugi z nich, wznosi okrzyk: *cześć Ałłahowi! niech żyje Prorok!* „*Cześć mu! niech żyje!*“ odpowiadają drudzy. Obyśmy, chrześcijanie, pamiętali tak na swego Boga i Świętych Pańskich, jak muzułmanie na Ałłaha i Muhameda.

Koń a strzelba, — oto co najwięcej jest cennem w oczach Araba. Choć najbiedniejszy z nich, jeżeli tylko posiada konia, uważa się za szczęśliwego. Konia przekłada nad swoją żonę i dzieci, sam woli głód cierpieć, byle tylko koniowi na niczem nie zbywało. Gdy Arab odwiedza swego sąsiada lub krewnego, pierwszą rzeczą, o jaką się pyta, jest: *jak się ma koń? zdrów-li czy chory?* Jeżeli chory, tem bardziej zaś, kiedy padnie, pociesza nieszczęśliwego właściciela, jak umie, w nieutulonym tegoż smutku.

Jak bardzo konia cenią, poznać można z tego, że genealogię (rodowód) jego przechowują tak troskliwie, jak swoją własną. Utrzymują zatem dokładny rejestr, którego dnia koń przyszedł na świat, z jakiego pochodzi ogiera i jakiej klaczy, w jakiej miejscowości, czy jest czystej krwi lub mieszaniec i t. d.

Na koniach tych, zwłaszcza Arabowie, mieszkający bardziej wewnątrz kraju, w jego części pustynnej (Beduini), najróżniejsze wyprawiają harce. Tak np. rzucają z wielką siłą dzidę przed siebie: rozpędziwszy konia potrafią dopaść ją i pochwycić wpierw, zanim spadnie na ziemię. Pędząc co koń wyskoczy, schylają się i podnoszą sztylet, a nawet pieniążek, leżący na ziemi. Słowem, jestto lud zwinny i tak sprawny na koniu, jak *kozak* albo mieszkaniec *puszty* węgierskiej.

Wspominałem wam dotychczas o zamożnych mahometanach, muszę wam także coś powiedzieć o biednych wyznawcach islamu. Ci, biedą do pracy zmuszeni, pędzą życie, jak mogą, pocieszając się, że w niebie zostaną wielkimi bogaczami. Jedzenie mają bardzo liche. Na wiosnę żywią się trawą, różnemi przyprawioną ziołami; latem owocami; zimę starają się przetrzymać za pomocą niewielkiej ilości ryżu i zboża, jakie im wydała rola, a raczej pole, ladajako uprawione i zasiane. Każda rodzina ma wielką misę drewnianą, w którą nakładzie wszystko to, co ma na obiad. Misę tę (która czasem wygląda jak korytko) stawiają na ziemi, cała rodzina obsiądzie ją do koła i w 10 minut obiad skończony.

Chleb niezmiernie rzadko pokazuje się na stole ubogiego muzułmanina; zwykle dopiero we wielkie święta. Święta te poprzedzają nadzwyczaj ścisłe posty, ścisłymi są one jednakże tylko w e d n i e. Gdy noc zapadnie, na dany znak z meczetu lub

z pagórka, ustaje obowiązek poszczenia i można wtedy jeść i pić bez miary. O wschodzie słońca znowu się post rozpoczyna i trwa aż ku wieczorowi, w czasie zaś tym nie wolno nietyko jeść, ale ani pić, a nawet (co dla Arabów jest rzeczą najprzykrzejszą) fajki palić. Gdyby kto z nich złamał post, dostałby się do ciężkiego więzienia, jeżeliby to władzy zostało doniesionem.

Co jednak więcej, niż wszystko inne, budzi w nas litość nad biednymi, jest sposób, w jaki się tam ściąga zaległe podatki. Biada ubogiemu muzułmanowi, gdy nie ma czem zapłacić roczną dań, winną rządowi, albo też swoich długów. Wtenczas przychodzi do jego domu już nie jeden egzekutor, lecz 6-10 żołnierzy policyjnych wraz z urzędnikiem. Można sobie wystawić, co za rozpacz ogarnia biedaka na widok takich gości. Gdyby dżuma pokazała się w jego domu, nie wystraszyłaby go do tego stopnia, co ci siepacze bezlitośni.

Urzędnik zbliża się do swej ofiary i żąda podatku. Naprożno biedak zaklina się, że nic nie posiada, daremnie z płaczem oświadcza, że nie ma co do sprzedania, bo jeszcze żniwa się nie rozpoczęły; żadnego skutku nie odnoszą jęki, jakie rozlegają się po całym domu: urzędnik bynajmniej się tem nie wzrusza. Ileż on już razy był świadkiem podobnych scen! Uśmiecha się tylko szyderczo i woła wreszcie do żołnierzy: „*będziecie mieli ucztę!*“ Słowa te jakby nawskroś mieczem przebijają duszę biednego dłużnika, a przeciwnie, niewymowną radością napełniają żołnierzy. One bowiem oddają im cały dom i wszystko, co się tam znajduje, na łaskę i niełaskę, — żołnierze stoją się panami samowładnymi całej chudoby biedaka i wolno im sobie *pohulać*. Stoją w domu załogą tak długo, aż nieszczęśliwy w jaki sposób z zaległego podatku lub długu się nie uiści. Jeśli posiada jaką kozę, lub owieczkę, musi ją zabić i dać na obiad policyantom, musi ślepo słuchać ich rozkazów, inaczej czeka go chłosta. Jeśli posiada konia, lub gdy chata, jaką zamieszkuje, jest jego własnością, musi to wszystko, nieraz za bezcen, sprzedać, inaczej byłby codzień katowany, lub przywiązany gdzie na polu do słupa i tam wystawiony na upał słoneczny, skazany na głód i pragnienie.

Często się nawet zdarza, że biorą mu syna, lub córkę, do więzienia. Niepocieszony ojciec szuka wtedy wszelkich sposobów, ażeby dług zapłacić i ukochanego więźnia wybawić. Wtenczas sprzedaje nieraz drzewa oliwne, lub inne owocowe, jakie na jego polu rosną, a ponieważ tam w Palestynie sprzedając drzewo, sprzedaje się razem z niem ten kawałek pola, na którem ono rośnie, zatem rzecz jasna, że traci (po większej części za bezcen) spory kawał ojcowizny.

Pewien muzułmanin, pragnąc syna wykupić z więzienia, przychodził często do nas, ofiarując nam to, co posiadał najmilszego, swego konia na sprzedaż. Oczywiście, ślepo doń przywiązany i święcie przekonany, że to koń osobliwy, „wielkiej krwi“ i najpiękniejszy ze wszystkich, żądał zań wysoką cenę. Uczyniliśmy to nareszcie, nietyle z potrzeby, ile z politowania nad biedakiem, gdyż dwojako cierpiał: jako ojciec syna uwięzionego i jako właściciel szlachetnego zwierzęcia, które miłował nadewszystko.

O tem wiadomo wam już dawno, że pomiędzy muzułmanami panuje wielożeństwo. Ubodzy miewają zwykle jedną tylko żonę; bogatsi mają ich po kilka, a nawet kilkanaście.

Każdy Arab kupuje sobie żonę, nie czyni tego jednak osobiście, lecz za pośrednictwem rodziców, lub krewnych. Ci wszystko za niego odrabiają: oni mu żonę wyszukują, płacą za nią, oni również naznaczają dzień zaślubin.

Obrząd weselny odbywa się w taki sam sposób, jak go opisuje Pismo św.; od tylu wieków w niczem się nie zmienił. Odbywa się nocą, zaczem każdy gość, udając się na ucztę weselną, jest zaopatrzony w lampkę albo pochodnię, aby gdzie o kamień się nie potknąć.

Pod wieczór dnia, w którym zaślubiny mają się odbyć, oblubienica opuszcza dom rodzicielski w towarzystwie krewnych i przyjaciółek, zwykle pod baldachimem, niesionym nad nią przez czterech mężczyzn. Poprzedza ją kapela, z kilku złożona instrumentów. Naprzeciw niej wyrusza podobnyż orszak, towarzyszący oblubieńcowi, złożony z jego krewnych i przyjaciół. Spotkawszy się, młody pan udaje, że porywa młodą pannę i wprowadza ją do swego domu; za nimi spieszą zaproszeni goście i rozpoczyna się uczta. Na tem się wesele kończy.

Moi kochani! Wiele innych jeszcze rzeczy miałbym wam do opowiadania o naszych misyach w Ziemi świętej. Wskazałem wam na dwie trudności, które nam pracę w nawracaniu nieledwie czynią niemożliwą, nie podałem zaś trzeciej: zniewieściałości i życia lubieżnego, w jakiem grzązną nieszczęśliwi wyznawcy fałszywego Proroka, gdyż mówiąc o niej, musiałbym natrącać o rzeczach, przed któremi przestrzegał św. Apostół: *nec nominentur in vobis* (— *niech nie będą między wami nawet wspominane*). To, com wam w krótkości był nadmienił, niech wystarczy, by was zachęcić do modlitwy, aby Pan Bóg, w którego ręku są serca wszystkich ludzi, błogosławić raczył naszej pracy, oraz sprawić, by Ziemia święta, obiecana Abrahamowi i jego pokoleniu, w której żyło tylu Proroków i świętych mężów, ojczyzna Matki Najświętszej i Pana naszego Jezusa Chrystusa, Jego krwią najdroższą zroszona, porzuciła błędy fałszywego proroka, a wróciła na nowo do prawdziwej Wiary, jaką Zbawiciel w niej głosił.

Xl. Józef Dobrzyński.

II.

Lorena (rzeczposp. brazylijska, poł. Ameryka).

.... Lorena leży przy kolei żelaznej, prowadzącej z Rio de Janeiro do São Paulo, nad wielką i piękną rzeką *Bahia*, w uroczej dolinie, otoczonej dokoła górami, gęstych pełnemi lasów, w których żyje mnóstwo dzikiego zwierza

i różnokolorowego ptactwa: małp i papug różnego rodzaju, jako też węży i najrozmaitszych jadowitych płazów.

Miasto jest niewielkie, mające około 7,000 mieszkańców, z przedmieściami dochodzi do 10,000. Ludność tutejsza składa się po większej części z Luso-brazylianów, murzynów i *mulatów* (mieszańców). Większą część ludności stanowią biedacy, biednymi zaś są przeważnie z przyczyny lenistwa, jakiemu się oddają, wylegując całymi dniami w cieniu pod drzewami, lub w swoich lepiankach, i posilając się *mandioką*, upieczoną w popiele, lub *kukurydzą*, bez żadnej ugotowaną przyprawy, a częstokroć i bez soli, jako też rożnymi *owocami*, jak: *pomarańczami*, *bananami*, *gojabami* *) i t. d., w które obfitują lasy podrównikowe. Dla tej właśnie obfitości *owoców*, stanowiących główny artykuł spożywczy w strefie gorącej, ludność rozleniwia się do najwyższego stopnia, a najbardziej kobiety. Te ostatnie, byle tylko miały czem nałożyć fajkę, a jeszcze lepiej, gdy mają *pingę* (wódkę z trzciny cukrowej) do popijania, za którą przepadają, to i cały dzień gotowe przeleżeć lub przesiedzieć, nie ruszając się z miejsca, zapominając nawet o jedzeniu.

Domy, a raczej lepianki, mają brudne i w nieporządku trzymane, stawiają je zaś z gałęzi bambusowych i, co najwyżej, obrzucają gliną, a kiedy ta wyschnie i kawałami poodpada, to nie chce im się dziur pozalepiać, zaczem nie dziw, że żmije, skorpiony i inni tego rodzaju nieproszeni goście włażą do chaty i kąsają dzieci, a także i starych.

Lepianki te pokrywają trawą, podobną nieco do słomy; miejsce okien zastępują im dziury w ścianach, które zatykają na noc, lub gdy gdzie wychodzą. Okna szklanne tylko u bogatych można napotkać. Sprzęty domowe właściwie posiadają tylko bogatsi: biedni nie mają prawie żadnych. Łóżko zastępuje im kilka desek, położonych na czterech, w ziemię wbitych kołkach, zamiast stołków mają kamienie, ich stołem jest podłoga, a raczej goła ziemia. Szafek do przechowywania ubrań i bielizny w tych lepiankach nie ujrzysz, a choćby się tam nawet znajdowały, to byłyby próżną chaty ozdobą i poprostu zawadzałyby, gdyż ludność nie miałaby co w nie kłaść: ubioru pospolicie nie mają innego, jak tylko to, co noszą na sobie a i to nieraz podobne jest raczej do wszystkiego innego, tylko nie do przyodziewku.

Dzieci do 10go lub 12go roku zazwyczaj chodzą nago; co najwyżej pokryte są jakim szmatem; obuwie znają tylko bogaci. Wychodząc gdzie na przechadzkę, za każdym razem napotykamy dzieci, nieraz już dosyć duże, zupełnie nagie, goniące się naokoło domów, które zoczywszy nas, z krzykiem uciekają skryć się. Jeżeli zaś wyjdziemy gdzie na dłuższą przechadzkę, w lasy, to napotykamy tam nietylko dzieci, ale i dorosłych, obnażonych i przypatrujących się nam z ciekawością. A nie są to bynajmniej dzicy, Indyanie, lecz Brazylijczycy, a zatem już „*cywilizowani.*“ Pożal się Boże, co to za *cywilizacya*, kiedy życie i obyczaje tych ludzi niewiele się różni od życia i obyczajów dzikich!

Przyczyną tej biedy i takiego życia jest nieprzezwyciężone lenistwo i jeżeli gdzie, to tutaj znajduje zastosowanie znane, powszechnie przysłowie, w lenistwie upatrujące źródło wszystkiego złego.

Wogóle bardzo wiele jeszcze trzeba pracy nad tymi biedakami, chcąc ich wyprowadzić na ludzi, jakimi być powinni. Nie są oni jednak źli, owszem są nawet w gruncie pobożni; niestety, ta ich pobożność zasadza się (jak to zwykle bywa u wszystkich południowców) na szumnem obchodzeniu świąt, połączonem z hałasem i hukiem. Na takie obrządki, przy których nasłyszeć się można muzyki, a czasami nawet strzelaniny, uczęszczają chętnie, od wszelkich innych jednakże praktyk religijnych, a mianowicie od częstego przystępowania do Sakramentów św., stronią, nieprzymierzając, jak dyabeł od święconej wody. O spowiedzi ani słuchać nie chcą, to też nikt się tutaj prawie nie spowiada, z wyjątkiem garstki starych kobiet.

Brać ślub w kościele jest tu rzeczą wprost niesłychaną; zaślubiny odbywają się na policyi, a najczęściej żyją ze sobą bez żadnego ślubu, „*na wiarę*,“ to znaczy: jak zwierzęta. Nie czynią tego jednak bynajmniej ze złej woli — powtarzam jeszcze raz: ludność tutejsza nie jest w gruncie złą, — lecz z niewiadomości. Nie spowiadają się i do Sakramentów św. nie przystępują, bo ich niema kto pouczyć, co jest spowiedź i inne Sakramenta św., jak również jak i z czego się powinni spowiadać. „*Albo ja to kogo okradł albo zabił?*“ tłómaczą się nieraz (tak samo, jak i u nas niejeden zły katolik), wymawiając się od spowiedzi. Grzechem nazywają najwyżej taki występek, za który policyant może ich wziąć za kołnierz i do więzienia zaprowadzić. Jeżeli niczego podobnego nie zbroili i mogą śmiało policyantowi patrzeć w oczy, to już uważają się za porządnych ludzi, nawet (jeśli się tak wyrazić można) wobec Pana Boga. Grzechy zmysłowe, nieczyste, według ich wyobrażeń bynajmniej Pana Boga nie obrażają; tak samo się rzeczy mają z grzechami cudzymi, grzechami opuszczenia i t. d. Słowem, w wielkich błędach znajdują się ci ludzie, a niemasz, ktoby ich oświecał i prowadził drogą zbawienia.

Na księży nikt prawie nie chce się uczyć, choć to tutaj dość przyszłoby łatwo, a tak rok w rok kapłanów ubywa, zamiast przybywać. W przeszłym roku (1896) np. umarło w Brazylii 80 księży, wyświęcono zaś zaledwie 50. Nie dziw więc, że są tu parafie, które latami czekają na pasterza, a doczekać go się nie mogą.

Tu w Lorena, od czasu, kiedy się osiedlili Salezyanie, stosunki pod względem religijnym wielce się zmieniły: w kościele salezyańskim coraz więcej ludzi ciśnie się do konfesyonałów, tak iż w niedziele i święta po kilkadziesiąt osób przystępuje do Stołu Pańskiego, co dawniej było rzeczą nigdy niewidzianą. Salezyanie tu, jak i gdzieindziej, pracują z całem poświęceniem i wytężeniem sił, nietylko w mieście, ale i po plantacyach i koloniach, spieszą z pomocą duchowną wszędzie, gdzie jej zażądają, odprawiają misye wśród dzikich, na pół dzikich, jak również wśród wychodźców z Europy.

Misye te po rozmaitych osadach i plantacyach są nadzwyczaj uciążliwe i częstokroć niebezpieczne, lecz za każdym razem nieobliczone przynoszą korzyści duchowe, to też misyonarze, widząc dobre skutki i owoce swej pracy, z chęcią się poświęcają na wszelkie trudy i mozoły. Niestety, bardzo mało jest księży Salezyanów, a tych kilku, którzy się np. znajdują w Lorena, mają pracy aż nadto w swoim zakładzie z młodzieżą, którą kształcą, i tylko w chwilach, wolniejszych od

*) Drzewo *gojabowe* jest nieco podobne do jabłoni, lecz liście ma trochę odmienne; owoc jego jest wielkości jabłka, nader smaczny i pożywny.

pracy, mogą odbywać wycieczki do miejsc dostępniejszych.

W Lorena są dwa domy salezyańskie, tj. kolegium św. Joachima, dla pragnącej kształcić się młodzieży, a także dla rzemieślników, i kolegium Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, w którem poprzednio były Siostry Najśw. Maryi P. Wspomożycielki. W roku bieżącym otworzono tu nowicyat salezyański, a zakonnice przeniesiono do osobnego domu, w pobliżu kolegium św. Joachima.

Oprócz kościoła XX. Salezyanów jest tu kościół parafialny, który jeden tylko kapłan obsługuje, a i ten już w podeszłym wieku. Także w kościele parafialnym pracują XX. Salezyanie: oni prawią kazania co niedzielę i w święta, oni wygłaszają nauki katechizmowe, słuchają spowiedzi, udzielają Sakramentów św., wogóle wszystkie spełniają posługi, do zbawienia dusz ludzkich prowadzące.

W nowym nowicyacie salezyańskim jest obecnie 20 kleryków, większą częścią Brazylijczyków, kilku Włochów i dwóch Polaków. Czterech z nich, ukończywszy nowicyat, zostało wysłanych do innych domów jako asystenci i nauczyciele. Mamy w Bogu nadzieję, że po wakacyach nowicyat się podwoi, ponieważ kilkudziesięciu studentów, którzy obecnie kończą kursa łacińskie w innych naszych domach brazylijskich, ma przybyć do nas i otrzymać sutanny, — *quod Deus bene vertat*! Oby ich przyszło jak najwięcej! Ach! ile wieków już sprawdzają się słowa Pisma św.: *żniwoć jest wielkie, ale pracowników mało*! Ze wszystkich stron dają się słyszeć wołania: *szlijcie nam w pomoc pracowników ewangelicznych*! Słowa te powtarzają wszyscy, a zwłaszcza XX. Dyrektorzy zakładów, którzy w braku nauczycieli, muszą sami po kilka godzin dziennie lekcyi udzielać. Podobnież XX. Biskupi z całej Brazylii wzywają do swych dyecezyi Salezyanów, ofiarując im domy, a czasem nawet fundusze, przełożeni jednak salezyańscy odpowiadają ciągle: *nie mamy ludzi*!

Najwięcej prosił i nalegał X. Biskup z Curityby o Salezyanów Polaków, w jego bowiem dyecezyi dużo się znajduje osad polskich, pozbawionych wszelkiej opieki duchownej. X. Inspektor Peretto przyrzekł mu, że udaje się do Turynu i z powrotem z pewnością przywiezie z sobą przynajmniej kilku Salezyanów Polaków, co dałby Wszechmogący Bóg, aby się spełniło jak najrychlej!

Nigdzie-bo nie daje się czuć tak gwałtowna potrzeba kapłanów, jak pomiędzy naszymi biednymi emigrantami, rozrzuconymi po całej Brazylii. W stanie Paranà jest kilku księży polskich, którzy zaradzają, jak mogą, potrzebom religijnym, po innych wszakże stanach brazylijskich są zupełnie opuszczeni i pozbawieni wszelkiej pomocy duchownej. Aż litość bierze nad tymi biedakami. Większa część z nich straciła wszelkie poczucie religijne: do kościoła jużby ich ani kijem nie napędził, a chociaż gdzie w pobliżu jest jaki kościół brazylijski, nie uczęszczają doń, wymawiając się: *po cóż pójdę do kościoła, jeżeli i tak nie rozumiem, co ksiądz prawi*; albo: *to tam kościoł nie dla mnie*; lub też: *gdyby to był polski ksiądz, tobym tam i poszedł, ale do kościołów brazylijskich, to niech sobie chodzą Brazylijczycy*. I tak żyją z dnia na dzień, myśląc tylko o życiu materyalnem. W dni codzienne zajęci są pracą, w niedziele i święta (jeżeli nie pracują) do południa przepędzają czas w domu, po południu spędzają go na różnych zebraniach, po karczmach i t. p., na grze w karty i wielu innych tego rodzaju zabawach, gdzie się nie obywa bez pijatyki, tańców, a często gęsto przychodzi do bójek i różnej swawoli. Co się zaś tyczy młodzieży polskiej, to żal o niej mówić: karłowacieje poprostu w życiu rozpustnem, jakie prowadzi.

Takie jest życie Polaków po miastach brazylijskich, gdzie niema polskich kościołów.

Wprawdzie znajdują się jeszcze pomiędzy nimi ludzie uczciwi i pobożni, lecz takich niestety jest bardzo mała liczba: przeważna część, pociągnięta złym przykładem, dawanym jej ustawicznie przez cudzoziemców, a głównie z przyczyny długoletniego nieprzystępowania do Sakramentów św., zupełnie się zepsuła, a co gorsza, wielu z nich stało się zgorszeniem innych narodów i tylko wstyd przynoszą imieniowi polskiemu.

Stokroć gorzej wiedzie się Polakom na plantacyach kawy, lub trzciny cukrowej. Ci biedacy są zupełnie opuszczeni. Porozrzucani po różnych *facyendach* i zapadłych kątach, oddalonych nieraz od większych miast o 2 i 3 tygodnie uciążliwej drogi, rozproszeni po górach i lasach, gdzie tylko na osłach i mułach można się dostać, — odkąd ich tam wywieziono, do tego czasu jeszcze księdza nie widzieli. Niema tam wcale kapłanów. To też nasi biedacy nie mają nawet sposobności dać dzieci swoje ochrzcić, a co zgrozą przejmuje, umierają bez pociechy i pomocy duchownej.

Wprawdzie niemasz znowu tak wielu Polaków na plantacyach, gdyż większa ich część, wkrótce po przybyciu na miejsce, posiadając jeszcze nieco grosza, wypłaciwszy się plantatorom, wydostała się z ich szponów; inni zaś, nie mając się czem wypłacić, pouciekali w nocy, jeżeli im się udało, lecz jeżeli ich połapano, to im strasznie skórę zesieczono i odstawiono napowrót; inni, napracowawszy się krwawo przez długie lata i wypłaciwszy się w ten sposób plantatorom, opuścili facyendy, przenosząc się do miast, lub do Parany; dużo wróciło nazad do kraju, a ilu marnie zginęło, to tylko Panu Bogu wiadomo.

Jakże wielką przysługę wyświadczyłby jaki kapłan, któryby chociaż raz na kilka miesięcy mógł odwiedzić tych nieszczęśliwych naszych rodaków i udzielić im pomocy duchownej! Z niecierpliwością, od dawna już, oczekują pomocy od Salezyanów polskich i dają się słyszeć narzekania, że Salezyanie polscy pracują dla innych, a o swoich nie pamiętają i nie spieszą im w pomoc. A chociaż narzekania te są całkiem niesłuszne, gdyż obecnie jest zaledwie **czterech** kapłanów pomiędzy polskimi Salezyanami, z których najwyżej **jeden** mógłby się udać do Brazylii, reszta zaś (**stu** z górą) jeszcze odbywa studya filozoficzne, a kilku teologiczne, — to jednak wiedzmy i pamiętajmy ciągle o tem, gdzie nasza praca jest najpotrzebniejsza i najbardziej pożądana.

A więc w imię Boże do dzieła!

Kl. Władysław Odziemczewski.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.